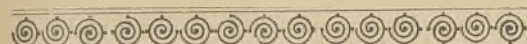
Nr. 28 (1435) Warszawa, 11 Lipca 1908 r. Rok XXVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcya i administracya Rysia 3. Telefon 73-80.

Szanownym abonentom przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III.



POLITYKA i Życie społeczne

W przeddzień konferencyi.

Kwestya słowiańskiego porozumienia i związana z nią konferencya w Pradze czeskiej rozbudziły z drzemki naszą opinię publiczną, otrząsnęły ją z apatyi, w jakiej zatonęła po krótkiej gorączce roku 1904-go i dwóch następnych. Od dziecinnego optymizmu do skrajnego pesymizmu, od gwałtownych protestów, sceptycznego, drwiącego uśmiechu, do idealistycznego rozmarzenia najróżnorodniejsze nastroje zarysowały się przy tej sposobności, charakteryzując nietylko kierunki programowe stronnictw lecz i nawpół świadome instynkty grup społecznych.

Tym sposobem dla przebiegu przyszłej konferencyi wytworzyło się w naszem społeczeństwie pewne tło psychiczne, pomagające zoryentować się w stosunku neoslawizmu do naszych narodowych interesów.

W pierwszym rzędzie uderzającym faktem jest zupełna abstynencya rodaków naszych z pruskiego zaboru, pozostająca w jaskrawej sprzeczności z ich istotnym stosunkiem do danej kwestyi. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nawet nie czekając na odrodzony na nowych podstawach neoslawizm—słowianofilstwo w każdej swej postaci tam właśnie znajdowało grunt najpodatniejszy. Nawet osławionej pamięci panslawizm liczył tam swych „sympatyków" i to w najgorszych okresach swego istnienia. Ta przednia placówka Słowiańszczyzny niemiłosiernie prażona ogniem jej nieprzejednanego wroga, z natury rzeczy oglądała się na każdą możliwą odsiecz choćby najdrożej opłaconą. I dzisiaj jest rzeczą całkiem pewną, że z tamtych stron właśnie w kierunku projektowanego zjazdu płynąć muszą z uciśnionych i oniemiałych piersi najgorętsze westnienia, że tam na gruncie obficie krwią i łzami zroszonym rozwijają się najbarwniejsze kwiaty złudzeń i daleko sięgających nadziei. Hamulcem dla współdziałania nie jest więc ani sceptycyzm, ani zadawnione urazy i porachunki — lecz poprostu strach.

Bratnia słowiańszczyzna tak daleko, a pikielhauba pruskiego żandarma tak blizko! Nie drażnić! nie drażnić! nie ściągać jeszcze dotkliwszych ciosów na nasze biedne głowy! Jesteśmy lojalni, byliśmy lojalni, będziemy lojalni w każdym calu, bo jeśli dźwięk piosenki polskiej na rynku poznańskim wywołał krwawe zajście, to czemże grozić może proklamowanie słowiańskiego braterstwa? Poznańczycy czują, że oni w Pradze byliby bohaterami dnia i właśnie obawiają się tego. Przybierają więc „postać skromną, jako wąż wystygły" — i czekają.

Rozważnie, ostrożnie, „z zastrzeżeniami" przystępują do dzieła galicyjscy Polacy. Uznali oni, że kwestya słowiańskiego porozumienia ma donioślejsze znaczenie dla ich zakordonowych braci niż dla nich samych i — nie usuwając się od współudziału — ustępują im pierwszeństwa. Trudno zresztą stwierdzić, czy mniemanie takie jest uzasadnione, to jest, czy na gruncie austryackich stosunków zbratanie się Słowian, wyrównanie istniejących antagonizmów, lub przełamanie lodów obojętności nie miałoby również ważnych następstw! Powściągliwość jest tu zapewne dyktowana i innemi względami. W kraju o takiej budowie politycznej jak Austrya, w kraju, gdzie Polacy korzystają z tak znacznej swobody rozwoju kulturalnego i działalności politycznej—niema wiele miejsca na platoniczne sentymenty. Każdy prąd polityczny może przeobrazić się w realną akcyą i właśnie ta swoboda nakłada większą odpowiedzialność, zmusza do rozważenia koniecznych, konsekwentnych dalszych ciągów każdego postawionego kroku. Polem realnych sojuszów, zawieranych na zasadzie wzajemnych zobowiązań jest akcya parlamentarna. Tylko po za nią, nie angażując jej w niczem, co najwyżej torując dla niej grunt w nastroju opinii i prądach społecznych, może się rozwijać zarówno neoslawizm jak każdy inny prąd ideowy luźny, nieokreślony, będący zaledwie w zawiązku, a daleki jeszcze od fazy swej krystalizacyi. Różne grupy ludności, młodzież, kobiety, dziennikarze i literaci, kupcy i przemysłowcy, wreszcie różne stronnictwa na swoją rękę mogą — a może i powinny szukać dróg zbliżenia i zaznajomienia się z pokrewnemi im grupami u ludów słowiańskich i nietylko słowiańskich. Bynajmniej jednakże nie przystoi oficyalnemu przedstawicielstwu ludności polskiej—to jest Kołu polskiemu—puszczanie się na takie rekonesansowe wycieczki, jaką bezwątpienia jest podróż na konferencyą przygotowawczą do Pragi. Szczerze ubolewać należy, że nie rozumie tego nasze Koło polskie w Petersburgu, które daje dowód lekkomyślności politycznej tłómaczącej się chyba jego politycznem niedoświadczeniem, gdy kładzie nacisk na oficyalny charakter polskiej delegacyi nieoficyalnej konferencyi słowiańskiej w Pradze. Ludziom obdarzonym mandatami od polskiej ludności Królestwa Polskiego wypadałoby zachowywać wobec słowiańskich konferencyi

postawę wyłącznie wyczekującą i o tyle je brać pod uwagę, o ile z nich wynikną jakieś konkretne rezultaty mające znaczenie bądź to faktów dokonanych, bądź to skrystalizowanych ugrupowań lub przynajmniej określonych politycznych prądów. Próbne eksperymenty polityczne powinni oni zostawić inicyatywie prywatnej grup i stronnictw, których rola właśnie na tem się zasadza, by urabiając i uświadamiając opinią przygotowywać tło do politycznej akcyi.

W ten sposób pojmując znaczenie zbliżającego się zjazdu, polskie zjednoczenie postępowe postanowiło wziąć w nim udział. Za zadanie swe poczytuje ono nie rzucanie się „bez zastrzeżeń" w objęcia bratniej Słowiańszczyzny, w ślepej ufności, że ona odpłacając się gorącą wzajemnością w porywie uczucia zrobi dla nas to, czego sami zrobić nie mamy siły lub odwagi, lecz zbadanie gruntu i udzielenie wzajemnych wyjaśnień. Zbliżenie się z innemi demokratycznemi grupami ludów słowiańskich, wyszukanie punktów stycznych między obustronnemi interesami, jeżeli one istnieją, ścisłe przestrzegania, by ani nasze, ani też pokrewne naszym interesy innych ludów nie opłaciły kosztów zainicyowanego świeżo przymierza, by jedność i braterstwo nie zostało okupione milczącem uświęceniem krzywd, a pozory niewinnej kulturalnej akcyi nie stały się białem wapnem na grobie uśmierconej narodowej odrębności słabszych braci, solidarność kneblem tłumiącym słuszne skargi, cały zaś neoslawizm szyldem handlowym politycznej frymarki — oto zadanie naszych delegatów na zjeździe praskim.

Iza Moszczeńska.



Obrona narodowa we Francyi.

Paryż, 26 czerwca.

Senator Ch. Humbert, który w roku zeszłym zaatakował był silnie ministeryum wojny, wytykając braki w organizacyi obrony narodowej, pospieszył w tych dniach podzielić się z czytelnikami *Journal'a* dobrą nowiną.

„W roku zeszłym—obwieszcza Ch. Humbert — na pytanie: *sommes nous défendus?* odparłem *przecząco*. Dziś odpowiadam: „*tak*". „We wstępie do mej książki [1]) pisałem:

Gdyby należało rozstać się z nadzieją zmiany obecnego stanu rzeczy, gdyby odnośne reformy były niemożliwością—wówczas patryotyzm kazałby mi zrezygnować i milczeć. Lecz, zabierając głos, wiedziałem, co czynię: rzeczy uległy zmianom, zaprowadzono reformy, uchwalono specyalne kredyty, dokonano szeregu robót; twierdze zostały wzmocnione, koszary uzdrowotnione; zakupiono reflektory forteczne, wykończono nowe kartaczownice, naprawiono telegraf polowy, przerobiono stacye mobilizacyjne, zwrócono baczną uwagę na jakość pożywienia żołnierskiego, administracya wyzbyła się swego letargu i jęła pracować ze zdwojonym zapałem, — i oto, dzięki naszym żołnierzom, którzy posiadają pierwszorzędne zalety, dzięki naszym oficerom i podoficerom, którzy godni są im przewodzić, dzięki uzbrojeniu, które stoi na wysokości wymagań — *nous sommes défendus!*"

Tak pochlebne zdanie surowego ongi krytyka zasługuje na uwagę tembardziej, że świeżo zawarte *trójporozumienie* (Anglia, Francya, Rosya) wysunęło nanowo—po raz niewiem który — kwestyę t. zw. obrony narodowej we Francyi, obrony, zwróconej wyłącznie ku wschodniej, alzackiej granicy.

Francya, kraj żyzny, bogaty i kwitnący, przeszła w r. 1871-ym przez gorzkie doświadczenie, które każe jej mieć się na ostrożności przed zachłannością sąsiada; od tego też czasu Rzeczypospolita nie przestaje szańcować się i zbroić od strony Renu, kładąc ogromny zasób energii, pieniędzy i pomysłowości w olbrzymie warownie, które ciągną się nieprzerwanem pasmem od Alp do Wogezów, od Szwajcaryi do Belgii.

Pociągi, kierujące się przez Strassburg na Paryż, mkną czas długi przez połać kraju zamienioną na nieskończony obóz wojenny: wszędzie, jak okiem zasięgnąć, forty, kazamaty, rowy oszańcowane, zygzakiem idące wały, manewrujące oddziały wojsk, wielkie magazyny i strategiczne tory kolejowe... Po stacyach snują się żandarmi, dyskretne ale pilne dając baczenie na giesta i twarze przejezdnych, którzy mają sposobność stwierdzić, że Republika, skądinąd gościnna i uprzejma dla przybyszów — tutaj wita ich badawczem i chmurnem wejrzeniem, z palcem na cynglu i z opancerzoną piersią...

* * *

Zachowawcze i wsteczne nasze pisma, które czerpią swoje informacye bądź ze świstków opozycyi monarchicznej, bądź też obsługiwane są przez ograniczonych i niesumiennych „sylfów", lubujących się w oszczerstwach pod adresem republiki wolnomyślnej i radykalnej [2]) — te nasze „Gońce" stołeczne i „Ziemie" prowincyonalne, zwykły pleść duby smalone o niedołęztwie rządu we Francyi, o rozprzężeniu panującem w armii, o braku gotowości wojennej i o zaniku obronnego instynktu w państwie, rządzonem przez władze tak skrajnie postępowe. Zarówno przycinki, czynione „zbyt postępowym ministrom" jak i sensacyjne wieści o rozmiarach antymilitaryzmu we Francyi — pozbawione są wszelkiej podstawy, służąc tendencyjnie ujawnionym i wiadomym celom: zohydzaniu wszelkich urządzeń postępowych w kraju i zagranicą. Armia francuska staje się coraz widoczniej

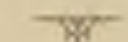
[1]) Charles Humbert, sen. de la Meuse: *Sommes nous défendus?* Paris, 1907. Ukazał się w Lipsku przekład niemiecki p. t. *Sind wir Verteidigt?*

[2]) Koresp. „Kraju" — „Przeglądu Polskiego" — „Dziennika Poznańskiego" — „Głosu Warszawskiego" i inn.

O. Kowalska.

BEZDOMNI

(Z motywów finlandzkich).



(Dokończenie).

Niedługo jednak trwa przeciąganie się i poziewanie: wnet ciemnieją wszystkie okna i dom cały ogarnia cisza niezamącona. Skradając się z cicha, pełznie po miękkich chodnikach, z izby do izby, mara senna.

Do nas tylko nie zagląda jeszcze, do nas, którzy z szeroko rozwartemi oczyma czekamy.

Czy przyjdzie gość straszliwy, złowieszczy upiór wilgotnych murów więziennych — gorączka febryczna?

Od dnia, w którym zamieszkaliśmy tutaj, nie zjawiła się ani razu.

Może i ona zatraciła nasze ślady, zabłąkała się w gęstwinach leśnych... a może znalazła nas już, może zaraz wypełznie, stanie u naszego wezgłowia i znów między nią a mną bój rozpocznie się okrutny, rozpaczny, żywiołowy, jak zawsze do samego rana.

I ona bowiem jest kobietą.

Ma zimne, chciwe wargi i krogulcze dłonie. Opłata niemi ukochanego mojego, najdroższego, tchnieniem swojem złowrogiem, wlewa w usta jego żar piekący, zamraża ciało, w mózg wpycha widziadła potworne.

Wtedy, w strachu śmiertelnym, jak ptak, pochwycony w szpony drapieżne, tuli się on do mnie i błaga bezsilnie: „nie oddawaj! nie oddawaj mnie!" Ciężko jej walczyć ze mną, krew moja młoda, gorąca, ręce miękkie a spiżowe i słowa, pod których wpływem biedne jego serce przestaje bić tętnem tak szalonem, a dręczony majakami mózg uspakaja się powoli... A gdy znów i znów ściąga go ona w dławiącą pustkę kamiennej mogiły, gdy zawiera nad nim potworne ciężarem głazy wieka, a on w żelaznym uścisku jej ramion wije się i skręca jak wąż, tracąc dech w oszalałej trwogą piersi—wówczas cicho, delikatnie przesuwam z pieszczotą dłoń moją po jego czole, oblanem grubemi kroplami zimnego potu, i mówię, że jest słońce, są pola, obsypane miękkimi, niebieskimi kwiatami, błękitne niebo, złote przestworza...

Siedzę tak przy nim i tulę go i koję, dopóki nie zwyciężę nienawistnej, która ostatnim zamraża go dreszczem i odchodzi, czując swoją bezsiłę.

...Czekamy... Bieleją w oknie śniegi, w cieplem powietrzu płyną balsamy hyacyntowe.

Niema jej; nie przyjdzie złowróżbny gość straszliwy.

Pełznąc niedosłyszalnie po miękkich chodnikach, wsuwa się do nas z uśmiechem mara senna.

Stukają do drzwi. To Hulda, jak zawsze z rumieńcem na jagodach, z wesołemi oczami, w których migają, rzekłbyś, zielone skry wodne.

Dzisiaj jednak jest jakaś wstydliwie zapłoniona, tajemnicza, jak gdyby, pierś jej rozpierała radość bezmierna.

— Co się stało, Huldo?

— Ach, miałam powiedzieć... Czy Frunie chciałaby... — spogląda ostrożnie z ukosa na męża mojego — jutro będzie u nas w szkole... maskarada,... to może?...

— Maskarada w szkole?

— Tak,... nasza, wioskowa... wszyscy idą.

— A kto z naszych?

— Ja, Anna, Pieter,... będzie wesoło,... myślałam sobie, że wciąż siedzicie oboje w domu, tak młodzi, przyjemnie więc będzie wam potańcować.

— Nie. Tańczyć nie będziemy: oduczyliśmy się tańczyć. A zresztą czekamy na listy... na ważne listy.

— O, to nic: listonosz przechodzi obok szkoły... Jeśli będzie coś do was, przyniesą i tam. Nasz gospodarz idzie także. Zaprowadzi was.

— A daleko to?

— Nie! Ze dwa kilometry. Pod wieczór zawsze mróz bierze: drogi dobre, a noce gwiaździste.

. . . .

armią ludową i na tem polega jej niezmożona siła. Odrębność interesów armii i narodu, która się tak fatalnie dawała we znaki za II-go Cesarstwa i podczas świeżych orgii bulanżyzmu — obecnie chyli się do zaniku w miarę postępów ducha republikańskiego i demokratycznego w kadrach oficerskich, skąd systematycznie go niegdyś przepędzano.

Sprawa Dreyfusa odegrała w tej dziedzinie życia narodowego — jak i w innych — rolę przełomową, decydującą. Zrównano wówczas wiele krzywdzących przywilejów, obalono niezdrowe przesądy, strącono szkodliwe fetysze z piedestałów niezasłużonej czci. Tromtadracki, płytki nacyonalizm ustąpił miejsca spokojnej i zrównoważonej miłości ojczyzny, która nietylko że nie spiera się z ideą postępu, ale przeciwnie, czerpie z niej siły i natchnienie...

Od tego czasu armia staje się tem, czem być powinna: organem obrony narodowej, zewnętrzną gwarancyą zwierzchnictwa ludu i niezależności państwa. Wskutek tego wzrasta jej potęga obronna, zanika zaś *imperyalizm* t. j. instynkt zdobywczy i łupieżczy. To też żaden z ludów ościennych niema najmniejszego powodu obawiać się wtargnięcia tej armii na swoje terytoryum, natomiast wiadomo wszystkim, że żaden najazd bezkarnie nie przekroczy granicy francuskiej.

Przeciętny Francuz, którego istotną cechą jest pracowitość i przezorność, uświadamia sobie wybornie, że, zanim odda się pracy spokojnej i produkcyjnej, winien zabezpieczyć kraj przed najazdem germańskim. To też uchwala i ponosi bez szemrania ogromne koszta budżetu wojennego, który w r. 1905-ym wynosił przeszło *miliard*, gdy w r. 1869-ym nie przekraczał 600 milionów wraz z budżetem kolonii.

* * *

Jeżeli przyjrzymy się bliżej poszczególnym wykazom statystyki wojskowej, jeżeli zestawimy dane z r. 1905-go z takiemiż danemi z końca II-go Cesarstwa — wówczas dopiero będziemy w stanie ocenić należycie ogrom prac i zabiegów, włożonych przez III-ą Rzeczpospolitą w dzieło obrony narodowej.

Armia francuska w chwili obecnej składa się w pierwszej linii z armii czynnej (743 bataliony piechoty, 89 pułków kawaleryi, 40 pułków artyleryi, 22 batal. forteczne oraz 620 bateryi, nadto 7 pułków saperów, oraz inżynieryi kolejowej i 20 szwadronów obozów; w porównaniu z r. 1869-ym jest-to 100 — 150% przyrostu sił).

Lecz *armia czynna* stanowi jedynie część pozycyi czołowych. W ślad za nią idzie niemniej liczna *rezerwa czynna*, która ze swej strony wspiera się o *armię terytoryalną*.

Rezerwa zawiera 145 pułków piechoty, 30 batalionów strzelców pieszych, 40 pułków kawaleryi i 216 bateryi konnych.

Armia terytoryalna liczy również 145 pułków piechoty, nadto 35 batal. straży celnej, 23 batal. i 9 sekcyj fortecznych, 45 rot straży leśnej, 15 sekcyj i 33 roty straży fortecznej, 10 batal. żuawów, 121 szwadronów kawaleryi, 18 pułków artyleryjskich, 18 batal. saperskich i 18 szwadronów obozowych.

Ogółem armia czynna wraz z terytoryalną i rezerwą liczy 2,500,000 żołnierzy wyćwiczonych i zaprawionych do boju. Jeżeli dodamy do tego *rezerwę terytoryalną* wówczas otrzymamy t. zw. *effectif total de guere*, wynoszący 4,350,000 głów.

* * *

Olbrzymi wysiłek organizacyjny i finansowy pozwolił Rzeczypospolitej osiągnąć świetne poprostu rezultaty. Armia francuska na stopie pokojowej (575,000) dorównywa niemal armii niemieckiej (607,000), jakkolwiek ludność Niemiec (62 milj.) przenosi niezmiernie ludność Francyi (39 milionów).

Tak wygląda w świetle cyfr rzekome niedołęstwo republiki, wytykane przez nasze nacyonalistyczne i zachowawcze organy z zapałem godnym lepszej sprawy. Jak wiadomo, służba wojskowa jest we Francyi powszechną w całem znaczeniu tego słowa i trwa w armii czynnej *2 lata* bez względu na pochodzenie, stopień zamożności czy wykształcenia. Następnie zobowiązany jest każdy Francuz służyć 11 lat w rezerwie, 6 lat w armii terytoryalnej i 6 lat w rezerwie terytoryalnej (ogółem 25 lat).

Armia francuska jest zatem rzeczywiście „uzbrojonym narodem”. Nie mniej, jak 15 miliardów wyniosły od r. 1883 do 1905 koszta postawienia jej na tak wzorowej stopie, nie licząc sieci kolei strategicznych, na które wydano 875 milionów. Żołnierz francuski odżywiany jest i odziany lepiej od niemieckiego, to też roczne jego utrzymanie wynosi 1580 fr., gdy w Niemczech tylko 1460, zaś w Rosyi — 1040 fr.

Żywy, rześki w swem czerwonem *kepi*, granatowym szynelu i lekkich kamaszach, francuski *piou-piou* wolny jest od tej maszynowej sztywności i ociężałej postawy, która cechuje tak ujemnie żołnierzy innych państw.

* * *

Nie mniej—a może nawet więcej—od armii lądowej atakowaną jest marynarka francuska, istny kozioł ofiarny dla łatwej a niesumiennej krytyki.

Następujące zestawienie sił morskich przekona nas o niezaprzeczonej wyższości marynarki francuskiej nad niemiecką.

1905 rok.	Francya	Niemcy	Anglia
Pancerników	35	29	65
Krążownik. pan.	17	10	35
Krążowników	34	32	112
Kontr-torped.	43	32	95
Torpedowców	262	124	160
Ogółem okrętów	480	250	886
Pojemności tonn	755.000	530.000	2.514.075
Dział	3.849	1.705	3.337[3])
Załogi głów	57.419	37.889	136.129

Budżet marynarki francuskiej wzrósł odpowiednio w ciągu 35 lat i wynosi obecnie

[3]) Statystyka marynarki angielskiej podaje działa tylko 10 ctm. kalibru i cięższe.

I oto nazajutrz, pod wieczór jesteśmy w drodze.

Słusznie mówiła Hulda: lekki, kolący mrozik skuł wszystkie grzęzawiska i koleje, we dnie pełne wody, a teraz pokryte cienkiemi warstewkami lodu, który chrzęści pod nogami niby szkło miałko tłuczone. Słońca dawno już niema i tylko jasno-cytrynowy, złotem i purpurą obłożony pas, na zachodzie płonie wewnętrznem światłem przejrzystem, w którego blasku wszystko: i zwarty krąg lasu, i białe pole, i rozrzucone tu i owdzie różowe domki zdają się objęte snem zaczarowanym.

Na prawo, łączące się z wodami fiordów niebo przechodzi w lazur przejrzystego sopla lodowego, gwiazda wieczorna, migocąca błękitnymi i purpurowymi ogniami, lśni się w niej takim samym, lodowym, przejrzyście czystym blaskiem nieskażonym.

W duszy naszej, jak dokoła: mroźnie, czysto i cicho. Na przodzie miga długa i cała czarna sylwetka maszerującego niezmordowanie gospodarza. W ręku trzyma latarnię. Jest bardzo zadowolony, poważny, od czasu do czasu tylko odwraca się w naszą stronę, ostrzegając: „kamień... rów”. A my idziemy wciąż za nim.

W lesie opływa nas ciepła fala: nagrzane w ciągu dnia igły sosnowe i świerkowe wypromieniowują teraz tchnienie słoneczne, oddając je wieczorowi. Coraz gęściejsze drżące cienie nocy zasnuwają szeregi kolumn szaro-liliowych, gałęzie splatają się w dach nieprzejrzysty.

Idziemy długo.

Rozwieramy jedne, drugie, trzecie skrzypiące wrota, wdrapujemy się na górkę i znów schodzimy w dolinę. Mijamy okrągłą taflę zamarzłego jeziora... A gdy wreszcie, po zakręcającej nagle na prawo drodze schodzimy ku fiordom, już nie jedna, ale dziesiątki gwiazd błyszczą wysoko po nad ginącą w oddali, szeroką, skutą lodem drogą.

Nagłe i lekkie poszumy zwiastują przesuwanie się obok nas ciemnych, smukłych postaci na zagiętych ostrzach łyżew śniegowych: w biegu, na powitanie, rzucają nam urywany ostry, podobny do krzyku czajki dźwięk krtaniowy, i z rozpędem podjeżdżają ku szkole.

Wtuliła się ona pod kępy ciemych jodeł, w aksamitnej ich rzeźbie lśnią pąsowemi kwadratami okna, za szybami migocą sylwetki; przez rozwierane co chwila drzwi wylewają się dźwięki muzyki, ożywiając senne, mroźne powietrze wesołymi swymi dźwiękami: „bum, bach, bach...”

Na ganku, pod daszkiem śmiech, tupot wycieranych o słomę podeszew...

Razem z kimś jeszcze otwieramy drzwi, wchodzimy i odrazu za jednym zamachem pogrążamy się w falę najhałaśliwszej najnajbardziej rozochoconej zabawy.

Duszno jest trochę i ciasno w dwóch wielkich szkolnych izbach z ich zesuniętymi stołami i ławkami, żar bucha od rozpalonego pieca i lamp wiszących, ale zato wesoło: pary wirują, obcasy przytupują — nawet podłoga sosnowa postękuje,—a muzykanci nie żałują sił: trąby i basetle grzmią tak, że głosów nie słychać, a skrzypce podcinają: „żwawiej, żwawiej”!

Migają maski, lśnią głowy i policzki, pot leje się strumieniem; tańczą, jak pracują — do siódmego potu. Gdy wreszcie resztka sił odmawia posłuszeństwa, piją lemoniadę, otwierają okna, przez które wali kłębami całe przepojone smolnym balsamem jodłowym mroźne powietrze nocy, lub, wybiegłszy na ganek, wycierają rozpalone twarze śniegiem.

Potem znów polka i walc, majestatycznie sunący korowód, rozbrzmiewająca harmonijnie pieśń z powtarzającą się zwrotką wesołą; po każdej zwrotce pary w takt chwytają się za ręce, wirują naprawo, nalewo, naprawo, dopóki nie zaprze się im do reszty dech w piersiach.

I nas już pochwycono do koła: czyjaś ciepła ręka wprowadziła nas, teraz ściska moją; kiwa na nas zabawny kozi pyszczek: „mmeeemmeeee...!” Przecież to ona, nasza Hulda, ta biała kózka ze złoconemi różkami i lśniącymi dzwoneczkami! A tam Anna — rusałka leśna, cała spowita w gałązki jodłowe, i Pieter w pstrej, aksamitnej kamizeli. Wszyscy witają nas z uśmiechem.

Przyjęto nas do korowodu—nie jesteśmy im więc zupełnie obcy i dalecy, i dla nas więc jest jeszcze miejsce wśród niewyszukanej, młodzieńczo wesołej zabawy.

318 milionów. Mieszkańcy bretońskich i prowansalskich pobrzeży stanowią wyborny materyał na marynarzy: muskularni, wytrwali a karni — dotrzymują godnie placu zaprzyjaźnionej marynarce króla Edwarda.

* * *

Co się tyczy antymilitaryzmu, to rozmiary tego prądu, rzekomo tak groźnego dla mocarstwowego znaczenia Francyi — należy zredukować do właściwych granic i spojrzeć nań przez pryzmat analizy psychologicznej.

Poczęty w szczupłem gronie zapaleńców, rozmiłowanych w dyalektyce oderwanej i w grze paradoksów — antymilitaryzm nie wykracza poza bractwa anarchistyczne i poza szpalty organu G. Herve'go *La Guere Sociale*, czytywanego gwoli sensacyi przez gawiedź paryską, podobnie jak czytywaną jest *Patrie* z głośnemi pamfletami Rocheforta.

Szerokie masy ludności zachowują w dalszym ciągu kult republikańskiego sztandaru. Nawet lud paryski, tak skory do sarkazmu, lubuje się namiętnie w rewiach wojskowych, witając frenetecznym oklaskiem lśniące pułki kirasyerów lub głębokie, równe szeregi gwardyi.

Francuz, który czapki przed kościołem nie zdejmie a do biur ministeryalnych wkracza z rękami w kieszeniach—obnaża z pietyzmem głowę wobec spłowiałej tkaniny, która symbolizuje w jego oczach potęgę i honor ojczyzny oraz jej zasadnicze prawa, połyskujące złotemi literami na trójbarwnem tle: *liberté — egalité — fraternité.*

Leon Gorecki.

Czynniki upadku i rozwoju narodów.

(Ciąg dalszy.)

1. Ustrój polityczny i sądownictwo.

Historycznie rzeczy biorąc walkę z przyrodą o byt wypadnie nazwać pracą, walkę zaś o byt z grupami ludzkiemi polityką: polityka tym sposobem staje się częścią składową etyki. Polityka, która stawiałaby sobie dobroczynne cele społeczne, mogłaby być niczem innem jak pedagogią stosowaną do szerokich mas społecznych. Autokraci, będący najczęściej lalką w ręku swych rozwielmożnionych urzędniczych agentów (zwłaszcza w krajach rozległych i ludnych uniemożebniających fizycznie kontrolę techniki rządzenia) w interesie swego istnienia zmuszeni są dbać o to, ażeby społeczeństwo poddane ich władzy nie było możniejszem i silniejszem niżeli grupa rządząca. To też zniedołężnianie, obezwładnianie, tłumienie wszelkich zdolności emancypacyjnych społeczeństwa rządzonego staje się najwyższą racyą stanu w systemie autokratycznym. Osobniki energiczne, przedsiębiorcze, twórcze, pełne inicyatywy, krytyczne—jako nie czyniące zadość dążeniom systemu autokratycznego, stają się jakby urodzonymi przestępcami politycznymi w systemie opartym na bierności, uległości i bezwładności. Jako tacy są wyeliminowani z reszty społeczeństwa i poddani uciskowi, który prędzej lub później doprowadza ich tą lub inną drogą do zagłady. Licuje z tem fakt, że u wszystkich narodów rządzonych despotycznie jak Turcya, lub Chiny, wybitną cechą jest niedołęstwo i nieudolność pozwalająca obcym napływowym żywiołom z ościennych krajów w najróżnorodniejszy sposób wyciągać stąd korzyści. Systemy polityczne oparte na despotyzmie mogą nawet pożądać objawów energii w łonie stanu panującego, lecz nie mogą pobłażać przejawom jej poza jego sferą. To wytwarzanie bezwładu i bierności drogą wycofywania z życia społecznego wszelkich niepodległych i odważnych jednostek tem łatwiej przychodzi, że takich jednostek jest mało, gdyż rasy, wśród których ustalają się trwale despotyczne systemy polityczne z natury swej są leniwe, gnuśne i tępe. Wyróżniają się one brakiem wszelkiej odpowiedzialności. Ten brak odpowiedzialności, gdy trwa kilkaset lat i krócej, doprowadza podtrzymujących system do zupełnej korrupcyi. W podobnych razach zjawia się konieczność dla ratowania raz zajętego stanowiska stosować względem rządzonego społeczeństwa osłabiającą je politykę korrupcyi, ażeby osłabiwszy je tą drogą utrzymać w uległości. Jest to nieubłagana logiczna konieczność. Korrupcya jest synonimem niemocy, impotencyi społecznej i jako taka staje się kardynalną potrzebą w interesie utrzymania władzy.

Wytworzywszy sztucznie lub rozwinąwszy naturalny bezwład, marazm i bierność wśród rządzonego społeczeństwa stan rządzący kruszy swój fundament, gdyż nie tworząc zamkniętej endogamicznej kasty, zmuszony jest zasilać się coraz nowym wpływem jednostek ze środowiska tendencyjnie demoralizowanego. Dlatego też systemy polityczne autokratyczne, są to systemy samozjadające się, które giną albo naturalną śmiercią doprowadziwszy do absurdu swą rozkładową robotę, albo nienaturalną w zawierusze i katastrofie wojennej z władzą państwową ościennych krajów.

Rozpatrzmy teraz w jakim wypadku dobór za pomocą praktyki sądowej prowadzi do upadku i zwyrodnienia. Naturalnem przeznaczeniem sądownictwa jest, wyzwoliwszy się od motywów zemsty, izolować i ubezwładniać te jednostki, które w sposób naganny, i w celu nie dającym się uzasadnić interesami życia—niszczą dorobek społeczny i prywatny lub w inny sposób zagrażają interesom życia zbiorowego i jednostkowego. Sąd wysługujący się systemowi politycznemu i zajęty prześladowaniem osób niemile widzianych przez stan rządzący spada do poziomu narzędzia partyjnej zemsty i traci wszelką dodatnią wartość społeczną. Sąd pragnący posiadać dodatnie znaczenie społeczne winien w pierwszym rzędzie mieć na widoku interes doboru. Z tego tytułu jedyną jego troską powinno być stwierdzać szkodliwe i nieuleczalne czyny zbrodniarzy zwyrodniałych, unieszkodliwiać osobniki tego rodzaju w drodze izolowania ich, wreszcie w miarę celowo obmyślanych środków zapobiegać szerzeniu się zwyrodnienia. Gdzie jest niedbałość i niedołęstwo pod tym względem, a natomiast gorliwe uganianie się za politycznymi przestępcami, tam procent zwyrodniałych musi się zwiększać, a procent energicznych żywotnych i przedsiębiorczych natur zmniejszać. Oprócz tego sąd winien starannie odróżniać zbrodniarzy ze zwyrodnienia od tak zwanych zbrodniarzy z afektu, którzy nietylko, że nie są wyrzutkami, lecz przedstawiają sobą najlepszy materyał ludzki. Do rzędu takich należą natury sangwiniczne, które uniesione temperamentem dopuszczają się gwałtownych czynów w obronie swego ideału ukochanego namiętnie nie zdolne do filozoficznego indyferentyzmu dla kłamstwa i prawdy, dla zła i dobra. Takież natury i w innych wypadkach nie unikną gwałtownych czynów, gdy ich godność zostanie urażona. Kłusownicy, kontrabandziści, typy określane mianem: „zawalidroga", „zabijaka", należą również do tej kategoryi. O nich to D-r Hans Gross mówi: „Są oni prędzej wszystkiem innem, niż typami zwyrodniałymi; mają właśnie nadmiar sił ży-

---

Opasawszy całą salę, tak że siedzące pod oknami stare matki podsuwają pod siebie kolana, sunie harmonijnie korowód, splecione ręce kołyszą się do taktu, a dźwięczne, świeże głosy dziewczęce zawodzą:

„Kalliole, Kukkulalla
Rakenan mina majani".
(Zbuduję dom mój na skale,
Przyjdź, droga, podzielić ze mną dni
szczęścia i troski).

I zgodnie, z błyszczącemi radośnie oczami i poważnemi twarzami, podchwytują parobczaki:

„Tule, tule, tytto miore
Asumoon mun Kaussani"!

(.. Maleńki, czerwony domek nad zielonymi fiordami, w lesie szmaragdowym...)

Niby gołąb śnieżny opada na pierś, powiewa łagodnemi, ciepłemi skrzydłami; kiwają główkami i patrzą się kwiaty polne, sierp zrzyna dźwięcznie soczystą murawę, toń nieba drzemie w głębiach wód kryształowych i nad pasmami sinych lasów, ponad szklistym blaskiem jezior, nad złocącemi się wśród granitów polami, od brzegu do brzegu kraju jednako dźwięczna i jednako krzepiąco radosna płynie pieśń...

„Kalliole Kukkulalla
Rakenan mina majani"...

W drzwiach staje gospodarz, dając nam znaki...

Listy? Tak, listy. Władcza czyjaś dłoń wyprowadza nas, zda się, z koła, odpędza od piersi białą gołębicę i zwolna między nami i zabawą opada ciemna zasłona.

I chociaż po chwili zamieszania zamknięty znów korowód splatać zaczyna na nowo swój wieniec — już w nas go niema: przechodzi on gdzieś daleko, daleko, jak sen, jak słoneczne, lecz zagasłe już widziadło.

I całe to upojenie: sine lasy, cichy dom nad zielonemi wodami, pieśń świetlana — nie nasza. Naszem jest to, co wypisane tu oto, w tych wierszach, co słowem każdym wrzyna się w piersi męką niewypowiedzianą, na tysiące wiorst przenosi dreszcz lodowy, ostry, jak uderzenie sztyletu, ból, krzyki zdławione.

Nasze są te równiny śnieżne, z wirującą po nich zawieją, milczące nieme, niby smentarz wioski, śmierć, idąca od progu do progu, wycie wilków i ponure cienie kruków żerujących.

Nasze te łuny pożarne na złowróżbnie cichych widnokręgach, ten jęk, idący od krańca do krańca kraju...

Las szumi... bieleją świerki... My sami tylko odchodzimy wciąż dalej i dalej, w noc głęboką i, zwyciężeni, wiemy, że, bezdomni, dźwigamy wszędzie za sobą dach ojczysty, że niema takiego kraju, takiego ziemi zakątka, w którym moglibyśmy zrzucić ze siebie, zapomnieć o tym słodkim, bolesnym ciężarze!

Tłom. *R. C.*



wotnych, liczą wyłącznie na siebie i na prawo własne". Są to właśnie natury najpożądańsze w walce o byt. Znamionuje ich nie impulsywność zwyrodniałych, pochodząca z przedrażnienia słabych nerwów, lecz skłonność do uniesień, do entuzyazmu, do „eroico furore", pożądanych tak dobrze w bitwie przy zdobywaniu szańców, jak w życiu społecznem i prywatnem.

Saint-Simon w jednym liście tak pisał: „Nie zapominaj przyjacielu, że tylko w uniesieniu można dokonać wielkich czynów". Nie mniej ludzie naruszający panujące prawo z krańcowej nędzy n. p., również mogą być dalekiemi od zwyrodnienia. Raczej fanatycy prawa, tchórze i niedołęgi pozwalający zagłodzić się nawet byleby nie naruszyć prawa, są zwyrodniałymi dekadentami nie zaś ci, co powodowani odruchem nieosłabionego instynktu samozachowawczego wrogie im i niebezpieczne dla nich prawo łamią. Rozróżnianie zbrodniarzy zwyrodniałych od niezwyrodniałych w praktyce sądowej winno być szczególnie starannem tam, gdzie system więzienny obcym jest wszelkiej hygienie socyalnej i staje się rozsadnikiem zarazy cielesnej i moralnej. Ma to miejsce wszędzie, gdzie nie zmierza on do moralnych, bioutylitarnych celów przy pomocy poprawczych raczej aniżeli karnych instytucyi.

Na czele więzień, a raczej domów poprawy, powinni stać lekarze, psychiatrzy i pedagogowie, ale nie żołdactwo. Gdy praktyka sądowa od dyrektywy wyżej wyłuszczonej przez nieudolność lub złą wolę odstąpi, to naraża społeczeństwo na dotkliwy uszczerbek, gdyż pomieszczając w więzieniach zdrowych skazańców szerzy zarazki, które w końcu doprowadzą do zwyrodnienia i chronicznego charłactwa społecznego, co zgubnie zaważyć musi na historyi narodu.

A. Kurcyusz.

Zjazd współdzielczy w Łomży.



Ziemia łomżyńska przedstawia najbardziej podatny grunt dla rozwoju wszelkiego rodzaju towarzystw współdzielczych. Ludność średniorolna, posiadająca przeciętnie nie więcej nad 1 włókę ziemi znajduje w kooperatywach wytwórczych kredytowych a nawet spożywczych, skuteczną i doraźną pomoc w walce, już nie o byt, ale o coraz szybszy rozwój własny.

Dziś, nie trzeba się łudzić, i przyznać, że mniej więcej jednowłókowe działki stanowią wszędzie, a szczególniej w Królestwie, najbardziej trwałą samodzielną jednostkę ekonomiczną, o charakterze wyraźnie zaborczym — rozbijają, parcelując ją, wielką własność, skupiają i wchłaniają w siebie drobną rozproszkowaną. Złożyło się na to bardzo wiele przyczyn. Prowadząc gospodarkę różnorodną, w znacznej części nawet naturalną te jednowłókowe działy są wolne od tych kryzysów, którym wielka własność podlegać musi tak często wskutek dowozu zboża z Ameryki i taryf różniczkowych stosowanych dla zboża rosyjskiego, gdzie podatki gruntowe są ośmkroć mniejsze od naszych—ziemia urodzajniejsza i robotnik o mniejszych potrzebach kulturalnych zadawalnia się bardzo nizka płacą. Drobna zaś, rozpylona 3—5—8 morgowa własność stała się dziś przeżytkiem ekonomicznym.

Nic może zaspokoić najistotniejszych potrzeb właścicieli swoich, i jeśli dziś stapia się, wyrzucając niejednych z ziemi, w większe działy, jest to tylko wielkim dodatnim objawem dla rozwoju naszej kultury. Wydziedziczony z ziemi drobnorolny—jako najmita fabryczny—jest daleko podatniejszym gruntem dla wszelkich zdrowych posiewów kultury, niż kiedy walczy ze śmiercią głodową, byle się tylko przy swym 3 morgowym zagonie utrzymać. Dziś przyszłość i rozwój rolnictwa w Polsce leży w ręku średniorolnych, którzy zorganizowani kooperatywnie, mogą, jak w Danii, wyzyskiwać wszystkie nowożytne zdobycze rolnictwa, handlu, przez stosowanie nawozów sztucznych, ulepszonych narzędzi, bron sprężynowych, siewników, żniwiarek, ba nawet lokomobili, przez hurtową sprzedaż, nabiału, drobiu, wyzyskać jednym słowem wszystko, co ma do rozporządzenia wielka własność, nie narażając się jednocześnie na wszelkie straty, jakie wielkiej własności przynoszą kryzysy. To też w wielkim, tryumfatorskim prawie rozwoju kooperatyw w Królestwie, ziemia łomżyńska trzyma prym, posiadając około 150 stowarzyszeń współdzielczych, powstałych w ciągu zaledwie paru lat. Dla obmyślenia dalszej taktyki działania, łomżyński oddział towarzystwa kooperatystów zwołał na 29 i 30 czerwca zjazd, na który oprócz przedstawicieli miejscowych kooperatyw, zostali zaproszeni liczni goście z Warszawy.

Pomimo trudnych, wprost w wieku XX niewiarogodnych warunków podróży, gdyż kolej żelazna omija Łomżę jedno zwiększych naszych miast gubernialnych ni mniej ni więcej tylko o 16 wiorst, zjazd był bardzo liczny. Gdyśmy rankiem z d-r J. Psarskim jednym z pionierów kooperatyzmu na Kurpiach, zjawili się w restauracyi współdzielczej naznaczonej jako punkt zborny, zastaliśmy około 100 delegatów, posilających się po trudach podróży, a wśród nich uwijali się zasypywani pytaniami, redaktor *Siewby*, Malinowski, d-r Augustyn Wróblewski adw. Lemański, przedstawiciel tow. kooperatystów, pan Turowicz. Szukam oczami Adamowicza, z którym w przededniu cieszyliśmy się nadzieją miłego spędzenia czasu w Łomży, lecz niestety, na zapytanie, dowiadują się, że to wielkie szlachetne, tak miłujące lud serce bić przestało! Nie chce się wierzyć, że ta szlachetna w każdym calu prawa postać odeszła od nas. Wiadomość o przedwczesnym niespodziewanym zgonie poety-ludowca stumaniła wszystkim oblicza. Był tu ogólnie znany, kochany—a program jeszcze zapowiadał na wieczór odczyt jego „o Wyspiańskim jako piewcy ludowym"...

Do jadłodajni przybywają coraz to nowi goście — wzajemne powitania, przypominania z lat dawnych, a najbardziej czuje się u siebie d-r Augustyn Wróblewski, bo jadłodajnia to dzieło rąk i energii jego. Stworzyło ją zawiązane przez niego towarzystwo abstynentów. Jadłodajnia rozwija się szybko, licząc przeszło setkę udziałowców, a gorliwi członkowie zdobywają coraz to nowych, wyrywając nieraz ze szpon strasznego nałogu. Opuszczamy, czystą schludną jadłodajnię, zasłaną tak gazetami, że robi raczej wrażenie czytelni — i po nabożeństwie udajemy się do wielkiej sali Lutni, miejsca obrad. Sala przepełniona, ledwie delegatów pomieścić może. Twarze od słońca spalone — świadczą, że to wszystko lud rolny.

Zjazd b. serdecznym przemówieniem otworzył organizator ks. Aleksandrowicz, który po długim pobycie w Ameryce, dziś z poświęceniem i wielką ofiarnością zdobycze kulturalne Nowego Świata zaszczepia planowo na ziemi Łomżyńskiej. Przewodnictwo obejmuje redaktor Malinowski, który w gorących słowach podnosi pamięć św. p. Jana Adamowicza, a zebrani hołd pamięci jego oddają przez powstanie.

Obrady rozpoczęły odczyty.

Po odczycie niżej podpisanego „O istocie kooperacyi", pan Franciszek Hryniewicz w barwnych słowach daje obraz rozwoju ruchu kooperatywnego. Niektóre towarzystwa upadają i to koniecznie wymaga obmyślenia środków zaradczych, powstały one wśród lat 1905—1906, idąc za impulsem ogólnym, bez ludzi wyszkolonych, bez taktyki działania. P. Turowicz wyjaśnia szczegółowo, jaką drogą winny nadal iść stowarzyszenia, kreśli program rochdalski, jako najlepszy, najpewniejszy. Po odczytach wywiązuje się dyskusya i okazuje, że ogólną prawie bolączką jest sprzedaż na kredyt. Na wniosek d-ra Wróblewskiego zjazd jednomyślnie przyjmuje uchwałę, że kooperatywy powinny dążyć do usunięcia sprzedaży napoi wyskokowych.

Dalej uchwalone zostaje silne przestrzeganie tolerancyi zarówno politycznej jak i religijnej. Jest to olbrzymi krok naprzód. Widać, że wszędzie wobec realnej twórczej pracy społecznej, waśnie partyjne przygasają. Jest chęć ogólna wspólnej pracy kulturalnej.

W czasie przerwy powołano 3 komisye: 1) współdzielczą, 2) rolną i 3) kredytową, których prace mają wypełnić zjazd.

Po obiedzie, nadzwyczaj gościnnie ofiarowanym przez kuchnię współdzielczą i gdzie cały zarząd podjął się roli nietylko gospodarzy, lecz i usługujących, zwiedzamy kooperatywy łomżyńskie: stowarzyszenie spożywcze, sklep towarów łokciowych doskonale prosperujący i udajemy się na dalszy ciąg obrad.

W bardzo żywym odczycie „O szkodnikach w ogrodnictwie" pan St. Woyczyński dał praktyczne wskazówki walki ze szkodnikami, liszkami, które w tym roku stały się plagą dla całego Królestwa. Słuchacze zadają pytania i wskazówki skrzętnie notują. Później adw. Lemański, przemówił na temat ogólno-społeczny „Lud wiejski jako czynnik społeczny", wykazując, że szlachta zatraciła już w znacznej części zdolność twórczą, i musi ustąpić miejsca nowej niezużytej sile ludowej.

Obrady zakończył red. Malinowski, wykazując, jakie zdobycze kulturalne wytworzył zbudzony do życia po długiej przymusowej śpiączce lud czeski, i zachęcał do usilnego naśladowania w pracy, zapobiegliwości, gdyż pomoc dla ludu polskiego może się zrodzić tylko z ludu samego.

Na tym zakończono obrady pierwszego dnia. Drugi dzień prócz specyalnych narad w komisyach—obejmował poświęcenie kamienia pod pierwszą piekarnię kooperatywną. Rozwój kooperatywny idzie więc systematycznie po całej linii. Jedna rodzi drugą. Opuszczaliśmy Łomżę z jakąś wielką otuchą w jaśniejsze jutro.

Jan Dmochowski.



NA DOBIE

Komitet Jubileuszu Al. Świętochowskiego w Warszawie nadsyła nam następującą odezwę:

Imię Świętochowskiego brzmi w obszarach naszego życia trójdźwiękiem Wiedzy, Siły i Piękna. W tworach i czynach Jego, ze Światła poczętych, podziwiamy zarówno idealną posągowość ducha, jak moc myśli prometejskiej i płomień wszechogarniającego uczucia. Słuchamy głosu uczonego, który z niezłomną logiką wyjaśnia prawa rozwoju, niepospolitym zmysłem krytycznym przenika

świat zjawisk i rzutem oryginalnej inicyatywy stawia słupy wytyczne na gościńcu kultury narodowej.

Działać bez lęku i bez wahania; myśl, wolę, znój nieść dziełu odrodzenia; przerębywać puszczę, iść na przebój z potęgami ciemnoty i niewoli—oto praca, którą spełnia jako wyznawca idei obowiązku.

Świątynią jest Mu—Ojczyzna, wiarą—Lud polski, a kultem—Postęp.

W najcięższej dla nas dobie, gdy rozwój cywilizacyi i myśli polskiej był skrępowany i podcięty—pracować niezmordowanie, tworzyć, walczyć i zdobywać — oto najgłębsza treść życia i trudu Aleksandra Świętochowskiego.

Myśliciel głęboki a wytworny, niedościgniony mistrz stylu, artysta i publicysta wielkiej miary — od lat czterdziestu stoi pod sztandarem demokracyi, kojarząc szlachetne dążenia myśli polskiej z najwyższemi zagadnieniami ogólno-ludzkiej cywilizacyi. Gdy innych ogarnia apatya lub zwątpienie, gdy w tylu duszach gaśnie zapał i poryw jaśniejszy, On trwa na stanowisku, krzepi i pociąga za sobą pokolenia młodzieży; zwalcza przesądy feodalne, ciasnotę myśli, samolubstwo klasowe i społeczne, tworzy dzieła, pełne głębokich, syntetycznych pomysłów, zdobne królewskim przepychem mowy rodzimej. Indywidualność potężna, charakter niezłomny, filozoficzny a niezależny od czasowych i przemijających prądów umysł Świętochowskiego — oto trzy brylantowe promienie, z których wysnul On piękną i płodną pracę swego życia, rozwidniając rzeszom wśród dziejowego mroku nowe drogi pochodu i wiodąc je myślą i wolą twórczą w lepszą szlachetniejszą przyszłość.

Nie w stosunku do Jego zasług i nie miarą uczucia, jakiem Go miłujemy, lecz powściągliwością ubogich kreślimy plan obchodu Jego jubileuszu.

Zamierzamy:

1. Utworzyć Towarzystwo Jego imienia w celu krzewienia wiedzy i praktyki rolniczej wśród ludu.
2. Założyć szkołę rolniczą Jego imienia, kształcącą włościan w gospodarce samodzielnej na małej własności ziemskiej.
3. Rozpowszechniać znajomość Jego dzieł przez odczyty, wieczory literacko-artystyczne i wystawianie Jego utworów dramatycznych na scenach polskich.
4. Urządzić w Warszawie w początku października r. b. zjazd jubileuszowy o charakterze literackim i społeczno-kulturalnym.

Zwracamy się do wszystkich, których obchodzą sprawy naszego postępu i naczelne zadania kultury narodowej, z prośbą o uczestnictwo w zjeździe, o wybór treści i zapowiedź referatów. Zabiegi organizacyjne skierujemy ku obronie zjazdu od chaosu i jałowości obrad, dążąc do zapewnienia mu powagi godnej wielkiego imienia, z jakiem go sprzęgamy.

Listy w sprawach jubileuszu prosimy zwracać pod adresem Komitetu do Kasy Literackiej, Nowy Świat 41. Nadto redakcye *Kurjera Warszawskiego* i *Nowej Gazety* podjęły się przyjmowania korespondencyj i wpływów pieniężnych.

Członkowie Komitetu organizacyjnego:

Edmund Bogdanowicz, Anna Tomaszewicz-Dobrska, Edward Geisler, Józef Kotarbiński, Ignacy Matuszewski, Izydor Mayzner, Czesław Mejro, Antoni Pilecki, Emil Sokal.

Odrodzony Słowianizm.

Kultura Polska w ostatnim zeszycie (Nr. 7) zamieszcza artykuł wstępny pod powyższym nagłówkiem. Na wstępie stawia autor pytanie: „czy te wszystkie narady i zrodzone z nich sojusze obiecują jakieś dobro dla kultury polskiej"?

W odpowiedzi na to pytanie rozróżnia dwie strony: istotę kultury i warunki jej rozwoju. „Pierwsza ma zbyt wyraźne i historycznie utrwalone pierwiastki własne, ażeby mogła zmienić się po wymianie serdeczności kilkudziesięciu osób przy biesiadnym stole, po wygłoszeniu kilkudziesięciu mów uczuciowych, a nawet po najuroczystszem zaprzysiężeniu ślubów krewniactwa, przyjaźni i wzajemnej pomocy".

„Właściwie wszelkie układy—pisze autor dalej—posiadać mogą tylko charakter przyrzeczeń prywatnych, opierać się na dobrej woli stron i zamykać się w dziedzinie stosunków leżących poza granicami polityki".

Rozległa wymiana usług i dorobków—jest zdaniem jego, choćby dlatego nie możliwa, że przeważna część ludów słowiańskich stoi na bardzo nizkich stopniach kultury.

Zaznacza również, że o zorganizowaniu Słowiańszczyzny jako jednego ciała kulturalnego nie można marzyć choćby dlatego, iż te prądy, które obecnie kształtują życie społeczeństw nie sprzyjają zlepianiu ich wedle pochodzenia plemiennego, lecz raczej kojarzą je wedle powinowactwa kulturalnego. „Ogólna demokratyzacya Europy osłabia tendencye szczepowe". Natomiast najluźniejszy nawet związek Słowian może oddziałać hamująco na napór germański na wschód i pośrednio wpłynąć dodatnio na nasze położenie w państwie rosyjskiem. „Nie nasze lub przyjazne nam artykuły gazet, nie gorące toasty, nie środki uczuciowe, ale niezłomna konieczność okaże dowodnie, że bez przyznania słusznych praw rozwojowi kultury polskiej Rosya zostanie sparaliżowaną zarówno w polityce słowiańskiej, jak w reformach wewnętrznych".

Formalną unię słowiańską poczytując w obecnych warunkach za utopię, autor dochodzi do wniosku, że jednak ogólne porozumienie się między ludami jest pożądane. Nie zbogaci ono wprawdzie naszej kultury, lecz uzyskać może dla niej pomyślniejsze warunki rozwoju.

Zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej w Pradze.

Uroczyste otwarcie Zjazdu nastąpiło d. 24 z. m. we wspaniałej sali Staromiejskiej Radnicy. Olbrzymie gotyckie okna rzucały barwne promienie światła na grupy narodowe odznaczone kokardami; na ścianach z jednej strony obraz Husa przed sądem w Konstancyi, z drugiej obiór Jerzego Podiebrad królem czeskim. Cisza i wyraz powagi na wszystkich twarzach znamionowały nastrój chwili. Starosta miejski powitał zgromadzonych od miasta Pragi, poczem nastąpiły inne mowy powitalne. Uczucia braterstwa popłynęły w długim szeregu dźwięków różno-języcznych wciąż potęgując poczucie łączności między długo rozdzielonemi współbraćmi. Ciekawe dzieje całych narodów odzwierciedlono w tych mowach. „My nie możemy się spodziewać tego wolnego przestworza, które się waszym kulturom otwiera; nam będzie miło, jeśli wy o nas chociaż wiedzieć będzie̜cie"—tak brzmi cicha i rzewna elegia serba-łużyckiego. Tyle bólu w tych słowach, tyle wymowy w postaci tej latorośli pnia etnicznego wypłukanego przez obce fale! A tam oto stoi piękny syn słowiańskiego półwschodu i zaczyna dźwięcznym głosem przemawiać. Policya reklamuje: „stenografowaliśmy po łużycku, serbsku, słoweńsku, — po bułgarsku nie umiemy". Forman, prezes klubu słowiańskiego, ofiaruje się za tłomacza, i mowa bułgarska zdobywa równouprawnienie — dziwnie zrozumiała zresztą, choć nikt z nas jej się nie uczył.

* * *

Zjazd ten wogóle jest pierwszy w swoim rodzaju, poprzednie bowiem, odbywane w latach 1890—91 w Krakowie i Pradze stały się widownią gorszących narodowościowych sporów; nie doprowadziły do żadnego porozumienia. Zjazd obecny urządzony przez Czechów, z udziałem polskich, rosyjskich, ukraińskich i serbskich studentów wychodźców, jest zaiste podniosłym zwycięstwem idej prawdy, postępu i zgody, a braterstwo zawiązane między jego uczestnikami dostarczy niewątpliwie słowiańskiej wzajemności całego szeregu świadomych rzeczy prawników. W istocie na Zjeździe wyjaśniło się wiele.

W dziedzinie szerokiej pracy społecznej znać było niejakie zachwianie się pojęć o wszechwładnym wpływie czynników gospodarczych na rozwój ludzkości. Wspólnym cechom rasowym, narodowej indywidualizacyi nadaje się nowe znaczenie, popierając je dowodami różniczkowania się narodów w ostatniej dobie. Przez podniesienie ludów do godności narodów, przez zbratanie się i podniesienie kulturalne szczepów słabych,—do sojuszu równych sobie w całej ludzkości—oto hasło brzmiące zgodnie w ustach Dalmatyńca i Rosyanina z Petersburga.

Było do przewidzenia, że na gruncie austryackim nie da się ominąć przykrego zetknięcia z raną polsko-ukraińską. Gwałtowna mowa Nazaruka była pierwszym zgrzytem w niezwykle podniesionej wytwornej atmosferze kongresu. Dopiero podczas odpowiedzi delegata krakowskiego zoryentowali się Czesi, przewodniczący sekcyi, słabo widocznie rozumiejący ukraińców, że niepodobna taką polemiką zagważdżać kongresu, obejmującego dwanaście narodowości i mającego pięć dni czasu. Wieczorem na sesyi Równiny Sarmackiej po pojednawczych głosach ze strony polskiej i rosyjskiej, usłyszeliśmy pożądane wyjaśnienia ze strony ukraińców: „My faktycznie stoimy kantem w obradach; dlaczego? Powinniście zrozumieć. Nasza idea narodowa jest młoda; chcemy zachować jej jędrność, chociaż fanatyczną chwilami zdawaćby się mogła. Język ukraiński w Rosyi nie zdobył sobie dotychczas prawa do życia;—borykać się musi nietylko z dogmatami czarnej sotni, ale i z pogardliwem traktowaniem postępowej części inteligencyi rosyjskiej. Przedstawiciel Odesy przytaczał literata Rosyanina, płaczącego nad Dnieprem smutną dumą o cierpieniach ludu ukraińskiego, a równocześnie zapoznającego język Szewczenki, jego prawa do życia i rozwoju. „We łzach miłość, a w czynach egoizm".

Wzruszającą do głębi była mowa wielkorusa o przekleństwie dziejowem, co losy ludów bratnich łańcuchami przemocy skuwa, serca ich oddalając od siebie. Zdawało się że mówcy wszystka krew uciekła z twarzy i zostały w niej tylko głębokie zahypnotyzowane uniesieniem oczy. I dni następne przyniosły głębokie przeświadczenie o potrzebie zgody i pojednania garstki, gdy staje, by zwalczać krzywdę zadawaną milionom.

W początku obrad najpierwsze miejsce zajęła krytyka dawnego panslawizmu propagowanego przez rosyjskich slawistów. Określono neo-slawizm jako prawo do równorzędnego rozwoju wszystkich narodów słowiańskich, bez jakiejkolwiek majoryzacyi ze strony większych całości nad mniejszemi. Następnie delegaci przedstawili stan szkolnictwa poszczególnych narodów z rezolu-

cyami co do tegoż, a później zajęto się sprawą zbliżenia i poznania się narodów słowiańskich i wzajemną pomocą kulturalną, W odczytach i referatach rzucono szerokie plany: statystyki ziem słowiańskich, akademii dziejów i języków słowiańskich, wymiany towarów i pracy wśród narodów Słowiańszczyzny.

Redaktor Nowikow mówił o utworzeniu szkoły wolnej od wpływów greko-rzymskiej kultury, szkoły z otwartemi oknami na warsztaty pracy i otwartemi drzwiami od ulicy, któremi wchodzić-by mogli wszyscy żądni wiedzy.

Kongres z każdym dniem rozbudza większe zainteresowanie; pisma codzienne praskie umieszczają szerokie sprawozdania, są korespondenci wiedeńscy i paryscy.

Najliczniej przyjechali ukraińcy i, pierwszy raz zanotowano na kongresie słowiańskim obecność białorusinów. Uczestnicy rozumieją się coraz lepiej i coraz jaśniej zdają sobie sprawę z potrzeby i pożytku podjętego dzieła.

Zjazd zmierzając ku końcowi, zostawi trwałą organizacyę, która ogłosi jego wyniki i nadal na obszarze ziem słowiańskich pracować będzie.

Bohdan.

O wystawie w Lipnie słów kilkoro.

Zamilkły już hymny pochwalne na cześć wystawy lipnowskiej. Minął już moment, gdy „uderzyły wszystkie dzwony na słoneczne świata strony”, wieszczac doniosły moment dziejowy dla Ziemi Dobrzyńskiej.

Teraz dopiero ośmielam się uderzyć w strunę, która może dysonansowo zabrzmi w chorale uwielbień, nie jestto jednak wcale „akord rozdąsany przeciwko zgodzie tonów skonfederowany”, lecz jedynie garść spostrzeżeń i uwag ku zbudowaniu przyszłych Komitetów Wystawowych na naszych ziemiach.

Wystawa jest odbiciem życia i pracy okolicy: przedstawia ona bogactwa i dostatki, chlubi się ze zdobyczy, wykazuje braki. Jest to zwierciadło, w którym okolica przegląda się, i jak zwierciadło musi być wystawa bardzo sumienną, bardzo wszechstronną, i bardzo dostępną.

Czy była taką wystawa w Lipnie? Stanowczo przyznać należy że nie. Szumny tytuł „Wystawa Ziemi Dobrzyńskiej” był zwodniczym: była to wystawa „wielkiej własności ziemskiej w ziemi Dobrzyńskiej”, czy jednak na tej ziemi żyje i jak żyje chłop, drobny mieszczanin, czy i jak pracuje na niej nauczyciel, doktór, co wyrabia drobny przemysłowiec, rękodzielnik, który tak chętnie i obficie zapełnił sale wystawowe łowickie, tego w Lipnie nie mógł się nikt dowiedzieć, bo te sfery w wystawie wcale nie wzięły udziału.

Zeszłoroczna wystawa w Ciechanowie wyrobiła sobie nazwę „pańskiej”. Lipnowska przeszła ją, a miano jej było: „jaśnie pańska”. Nawet w tak sympatycznym i drogim sercu dziale, jak ochroniarstwo, czytać można było napis: „wyroby z ochronki J. W. Pani X. z dominium J.” Dookoła placu długie szopy z inwentarzem dominium A, B, C i t. d. Dziw, że zabłąkały się tu dwie krowiny i dwie kobyły chłopskie. Wyznaczono za nie nagrody dwom gospodarzom: jednemu źrebię, drugiemu cielę i po 5 rubli. Na co te pięć rubli? Nikt nie umiał objaśnić. Jeżeli jako nagroda — to zbyt drobna, jeżeli zachęta do polepszenia inwentarza—to śmiesznie mała.

Na wystawie w Lipnie „wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze—a to echo grało”. Echo tych dawnych dobrych czasów kiedy „Ziemia Dobrzyńska” to był pan Sumiński z Sumina, pan Zboiński ze Zboina, lub heres de Obory. Na wystawie w Lipnie nie stał się żaden cud: nie poszedł z polską szlachtą polski lud. Szlachta dostojnie kroczyła po placu wystawowym, a polski lud nie mógł w uroczystości wziąć udziału nawet jako widz, gdyż Komitet odgrodził wystawę kordonem wysokiej ceny biletu.

Cena wejścia na wystawę w Lipnie oznaczoną była na dwa złote, co dla prowincyi jest stanowczo zbyt wygórowane. Jeżeli jednak taką cenę uznano za konieczną w dni powszednie—to w dni świąteczne na całym świecie wejścia wszystkie są znacznie zniżane, aby ułatwić dostęp do dzieła kultury nawet dla najuboższych, dla których jest ono bardziej potrzebne, niż dla bywalców z wystaw Europy.

Cena 2 złote od osoby dla drobnomieszczańskiej lub chłopskiej rodziny, składającej się choćby tylko z ojca, matki i dwojga podrosłych dzieci (drobne dzieci puszczano bezpłatnie), jest zbyt wysoka, 8 złotych to może parodniowy ich zarobek, a komitet tak dalece był gorliwy w popieraniu 2 złotówek, że nawet delegaci włościańscy, którzy przybyli z odległych stron kraju na wystawę, musieli wykupić bilety bez żadnych ulg. Nadto bilet tracił ważność z chwilą opuszczenia placu wystawy, gdy więc widz udawał się do miasta, aby coś zjeść, ceny bowiem w restauracyi wystawowej były bajeczne, a „huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli, oddechem ognistym palił, skrzydłami kurzawy walił,“ widz tedy musiał nową składać 2 złotówkę.

Komitet nie poczynił też żadnych ulg dla młodzieży szkolnej, a przecież szkoły włocławskie i płockie licznie przybyły na wystawę; dużo też było i warszawiaków. Czyż więc nawet dla tych drogich młodych elementów, dla uczniów z takim bólem i ofiarami wywalczonej szkoły polskiej, dla tych naszych następców i całej naszej nadziei, nie można było poczynić ułatwień, okazać gościnności i serdecznego zainteresowania? Gorzki może, lecz słuszny był żart jednego z widzów: „albo Komitet nigdy nie chodził do szkół, albo też już zapomniał, że za szkolnych czasów płacił zawsze i wszędzie zniżone ceny wejścia”.

Komitet zrobił bardzo dużo, zwłaszcza w dziale naukowo-statystycznym, ale cóż! tablice i rysunki sennie wisiały na drewnianych ścianach, a rzesze stały za bramą. A może pobudziłyby te tablice do zastanowienia się: dla czego Ziemia Dobrzyńska posiada 68% analfabetów, dla czego jeden nauczyciel polak przypada na 1134 osób ludności polskiej, a jeden nauczyciel niemiec, na 638 osób, z kolonistów niemieckich.

Stojące pod bramą rzesze nie widziały szwajcarskich krów o wezbranych wymionach, ani cienkorunych baranów, wypasanych na żyznych ziemiach rypińskich. Nie widziały tej powodzi maszyn rolniczych krajowych, poznańskich, lub czeskich. Nie widziały pergaminów z podpisem Zygmunta Augusta, ani prowadzonej od XVI wieku kroniki klasztoru w Skępem. Nie widziały doskonale zgrupowanych zbiorów archeologii przedhistorycznej, i podawnemu będą motyką rozbijać wykopane urny, obcasem gniotąc prochy i kosteczki pradziadów.

Niedokładności wymienione kłaść należy na karb nie złej woli, lecz braku praktyki w urządzaniu wystaw i niedostatecznego przeniknięcia się społecznym celem i społecznym duchem. Cieszyć się można nadzieją, że projektowana na rok przyszły sąsiedzka wystawa kujawska we Włocławku znacznie lepiej i względniej będzie zorganizowaną; tak przynajmniej zaprzysięgali Włocławianie, wracający z Lipna rozczarowani i zgorszeni.

Al. Janowski.

Od innych zwiedzających tę wystawę, słyszeliśmy narzekania, że Komitet nie starał się zapewnić uczestnikom, ani wygodnego i taniego utrzymania i noclegu na miejscu w Lipnie, ani też przejazdu z powrotem do Włocławka, przez co dał szerokie pole do wyzysku.

Redakcya.

Przełom w narodowej demokracyi.

Żyjemy w epoce rozpadania się dotychczasowych stronnictw i tworzenia się na ich gruzach nowych formacyi.

Epoka ruchu rewolucyjnego przyspieszała rozwój partyi, które wśród zawrotnej szybkości wypadków i kalejdoskopowych zmian położenia politycznego przez szereg przeobrażeń dochodziły do przedwczesnego wyczerpania się, rozkładu lub rozbicia.

Żadne z tych stronnictw, które wypłynęły na widownię w zaczątkach naszego publicznego życia, tj. na przełomie 1904—05 roku, nie pozostało tem, czem było wówczas.

Obecnie jesteśmy świadkami rozpadania się tak niedawno wszechpotężnej na pozór narodowej demokracyi. Ferment w jej łonie nie jest rzeczą nową. Już w czasie wyborów do drugiej Dumy krążyły wieści o zaostrzonych antagonizmach wewnętrznych, zażegnanych na razie — dla dobra sprawy. Od jesieni zeszłego roku dwa narodowo-demokratyczne organy: *Głos Warszawski* i *Goniec wieczorny* wiodły ciągłą walkę o politykę Koła polskiego, która była zarazem polityką widomej głowy stronnictwa, tj. pana Dmowskiego. Było już wtedy rzeczą widoczną, że osobistość tego leadera i reprezentowany przez nią kierunek — jeżeli tu wogóle o kierunku mogła być mowa — po za obrębem stronnictwa zdawna niepopularny, traci wpływ i zaufanie w jego własnych szeregach.

Wystąpienie jego ostatnie w czasie sławnych dni słowiańskich w Petersburgu przepełniło czarę cierpliwości wystawianej na ciężkie próby. Ukazała się odezwa „narodowych demokratów do demokratów narodowych” piętnująca w ostrych słowach „nowy kurs” jako sprzeniewierzenie się dawnym hasłom i zasadom narodowej demokracyi, wzywająca do wskrzeszenia dawnych, dobrych tradycyi stronnictwa i do otrząśnięcia się z narzuconej mu uległości względem głównego sztabu, który nadużył położonego w nim zaufania.

Kuglarstwa polityczne p. Dmowskiego, narażające go na ciągłe kompromitacye i porażki na zewnątrz, silniej niż przez kogokolwiek zostały napiętnowane przez jego byłych stronników.

Dla nas było już dawno rzeczą widoczną, to „co mu oni teraz wytykają—mianowicie, że „demokratyczność” partyi pozostawiła ślady tylko w jej firmie a „narodowość” kierunku jest nadużyciem stylowem, służącem do celów agitacyjnych w kraju, lecz bynajmniej nic krępującem na zewnątrz giętkiego oportunizmu przechylającego się z wszelką łatwością do ugody. Stąd walka z ugodowcami przybiera wprost cechy walki konkurencyjnej. Nie było też dla nas nigdy rzeczą wątpliwą, że narodowa-demokracya żeglując pod sterem swych obecnych kierowników szerzyła w naszem życiu publicznem demoralizacyę, która poprzednio za-

kradła się w jej szeregi. Dwulicowość, zła wiara, jezuickie uświęcanie wszelkich środków wiodących do zakonspirowanych przed społeczeństwem, a nawet własnymi stronnikami celów, ciągłe programowe „volty", aż nazbyt jawne dążenie do władzy dla władzy samej, do monopolu politycznego dla ludzi, nie zaś dla programu—sprawiały, że narodowa demokracya ze stronnictwa przeobrażała się coraz widoczniej w jakąś akcyjną spółkę polityczną pod firmą Dmowski, Balicki & C-o.

Wierzyliśmy też, że ogółu społeczeństwa nie można na długo skupiać i organizować w imię zręcznych politycznych szacherek. Dzięki nieświadomości i naiwności szerokich mas, które ledwie zbudzone z politycznego letargu nie zdążyły jeszcze oczu przetrzeć, można było otumanić je na chwilę popularnym frazesem i wieść tam, dokąd wcale iść nie zamierzały. Mistyfikacya taka jednak musiała się skończyć trochę prędzej lub później. P. Dmowski opierający zawsze swą politykę na przypuszczalnej naiwności tych, z którymi ma do czynienia, czy to w roli partnerów, czy przeciwników politycznych, przeliczył się tak co do jednych jak i co do drugich. W chwili gdy zaryzykował najpoważniejszą stawkę, traci grunt we własnym obozie.

Pozostawiając sobie na przyszłość wyczerpujące omówienie tego ciekawego społecznego symptomatu, zaznaczamy na razie, że przyznajemy mu wysoce dodatnie znaczenie, widzimy w nim bowiem dowód żywotności i zapowiedź sanacyi naszych politycznych stosunków. Dawne narodowo-demokratyczne hasła, choć się już w pewnym względzie przeżyły, miały szczerość i wyższy ideowy ton — cechy cenne, a całkowicie zatracone skutkiem późniejszych ewolucyi, w których grała poważną rolę zmiana osobistego składu stronnictwa. Żywioły szczerze demokratyczne, ożywione patryotyzmem wolnym od ciasnego szowinizmu, w miarę rozgrzewania się atmosfery w przedrewolucyjnej epoce opuszczały szeregi i szły dalej na lewo, a kadry wypełniały się natomiast nowemi jednostkami werbowanemi z pośród warstw dotąd obojętnych, wśród zer politycznych. Kto nie był niczem, a musiał się niekiedy w ciągu 24 godzin zaopatrzyć w polityczne przekonania, zostawał narodowym demokratą, poprostu przeciwstawiając się wszczętemu przez inne żywioły ruchowi, którego nie rozumiał. Liczebny wzrost stronnictwa zdawał się na razie jego dawnym zwolennikom tryumfem zasad programowych. Później dopiero okazało się, że był on za cenę tych zasad kupiony.

Z prawdziwie demokratyczną demokracyą narodową, możemy się nieraz spotkać na gruncie pewnych wspólnych dążeń, mimo ogólnej rozbieżności programów.

M.

Ciekawe szczegóły podaje w Nr. 305 *Nowa Gazeta* o nastroju jaki panował w społeczeństwie polskiem i w sali sądowej podczas procesu Siczyńskiego.

Polacy, nie wyłączając sędziów, dali dowód nietylko taktu—zdrowego zmysłu politycznego, ale i szlachetnej wyrozumiałości. Wysoce rozdrażniony stosunek wzajemny Polaków i Rusinów przed procesem, który w razie braku subtelności ze strony Polaków mógł doprowadzić do ekscesów podczas wysoce drażliwego procesu, dzięki podkreślonemu stanowisku Polaków ustąpił miejsca stosunkowi życzliwości wyrozumiałego ojca do zbłąkanego syna. To stanowisko uwieńczyło szlachetne wystąpienie wdowy po namiestniku o ułaskawienie skazańca.

Niestety nie można tego powiedzieć o stanowisku Rusinów, przemawiających wysoce agressywnie przez swój organ *Dilo*, który wprost gniewa się, że akcya Polaków może doprowadzić do ułaskawienia Siczyńskiego i tem może wytrącić dobrą broń warcholom rusińskim do demagogicznych występów.

n.

Jan Piliński

(Adamowicz).

(Życie i działalność)

> Wiem, że polegnę na tajemnic progu,
> Jak tysiąc innych — padnę bez imienia.
> Lecz cóż mi imię?
>
> (Fatalną idę, bezpowrotną drogą)...

Wieść o niespodziewanej śmierci Jana Pilińskiego (Adamowicza) wywołała serdeczne łzy w oczach jego przyjaciół i kolegów.

Na łzy te, na szczery żal, zasłużył on sobie.

Dziesięć lat temu tęsknota za ziemią rodzinną zmusiła go do porzucenia domu swego, wygodnego stanowiska, rodziny i znajomych. Porzucił miejsca, w których wzrósł i wychował się i z inżyniera przeobraziwszy się na bezdomnego tułacza, szukał w Galicyi pracy i nowych dróg. Prawdopodobnie wykształcenie techniczne pchnęło go do szybów nafcianych, w których jako zwykły robotnik, zdobywając marny kęs chleba, hartował ducha. Uczynność, koleżeńskość, prawy charakter i nadzwyczajna dobroć serca pokonały wszelkie podejrzenia i chłodne niedowierzanie jego otoczenia i zyskały mu wkrótce życzliwość, która u wielu przeszła w przyjaźń. Zmęczony ciężką fizyczną pracą, przesiąkły przykrym zapachem ropy nafcianej, po skończonej pracy dziennej, imał w twarde, przepracowane ręce dzieła Mickiewicza, Słowackiego i, wczytując się w myśli wieszczów narodowych, budził i odradzał swego ducha.

Aliści złość i mściwość ludzka dosięgła go i za kordonem granicznym, a szarpiąc jego spokój, rwąc ledwo nawinięte nici nowego życia, zniewoliła go do nowej tułaczki na wybrzeżach północnej Afryki.

Nazwisko rodzinne, którego wartość poznaje dopiero ten, kto je traci, było ścieżką i drogowskazem dla jego prześladowców. Wyzbywa się go więc i pod nowem imieniem, pracuje jużto w charakterze prostego robotnika przy poszukiwaniach wierniczych, już to jako malarz pokojowy w Tunisie. Po dwukrotnej tam bytności powraca niepoznany do Galicyi. Hartowniejszy przez doświadczone bóle, czystszy i jaśniejszy przez odczute piekące prześladowania, staje się w Galicyi czynnym i niezmiernie pożytecznym działaczem. Szybko zyskuje zaufanie i uznanie, przyjaźni się z takimi ludźmi, jak Sewer Maciejowski i Kazimierz Odrzywolski. Z ich obcowania i przyjaźni czerpie miłość i wiarę w odrodzenie, a stawszy się później przyjacielem i współdziałaczem inżyniera Wolskiego, zaufanego powiernika pragnień i myśli Szczepanowskiego, rozwija w czynie piękną „Ideę Polską" ostatniego.

Podejrzliwość i niedowierzanie, ustępują miejsca szacunkowi, przyjaźni i miłości, które zmarły Piliński zyskuje w coraz szerszych kołach wraz z opinią dzielnego i pożytecznego działacza społecznego.

Odrodzona i skrystalizowana w duszy Pilińskiego przepiękna idea, wzmocniona potęgą ukochania i głębokiej wiary w jej tryumf uczyniła zeń wytrwałego człowieka czynu. W końcu 1905 roku przybył do Warszawy.

Burza polityczna, zamęt pojęć i przekonań, które tu u nas zastał, nie zdołały wpłynąć na tę spiżową już postać. Ideę odrodzenia ducha narodowego, z niezłomną wolą i wytrwaniem szerzyć rozpoczął wśród nowego otoczenia, na nowym terenie.

I nie poprzedzająca go opinia, nie wieści z Galicyi, ale jego kryształowy charakter, słodka dobroć serca, uczynność, pracowitość i wskrzeszająca zdrętwiałych wiara zdobyła mu tutaj uznanie, szacunek i miłość.

Daleki od szerokiej polityki, nieopartej na trwałych i mocnych fundamentach, gorący patryota i szczery demokrata, rozumiał że wszelkie prace społeczne winny być zapoczątkowane wśród ludu i z ludem. Ale rozumiał to głębiej i szczerzej, niż wszyscy ci, którzy tylko na pewną odległość i przy pewnych warunkach z ludem chcą rozmawiać. Adamowicz-Piliński hasło: przez lud dla ludu wcielił w czyn. Wszedł w gromadę siermiężnych chłopów, żył i zżył się z nimi, ukochał ich i był przez nich kochany i ceniony. Znał ich wierzenia, rozumiał i odczuwał ich potrzeby, a ponad siły swe i możność, starał się je zaspakajać. Należał do czynnych założycieli *Siewby*, tego cennego organu chłopskiego, współdziałaniem swem popierał a nawet inspirował Kółka Staszycowskie i, nie chcąc tracić kontaktu ze sferą inteligencyi, był czynnym i wybitnym działaczem Polskiego Zjednoczenia Postępowego, łącząc w tej działalności i wiążąc ogniwa wielkiej i szerokiej pracy.

Obdarzony talentem literackim, piękną wymową i ujmującą prostotą szerzył swe świetlane idee wszędzie, gdzie tylko sposobność ku temu się nadarzyła,a potrzeba tego wymagała. W różnych pismach, nie wyłączając ludowej *Siewby*, której był sekretarzem, pomieszczał cenne artykuły, w których zawsze przemawiał z tąż wielką mocą ukochania swej idei, z zupełnem oddaniem się na usługi umiłowanej sprawy.

Krótka, bo niespełna trzy lata trwająca, jego działalność u nas wydała już bogate owoce, które dodawały mu świeżych sił, podniecały go do dalszej pracy.

Niestety, udar sercowy i brak natychmiastowej pomocy lekarskiej, przecięły pasmo cennego życia.

Spuścizną po nim są przeważnie drobne artykuły i poezye, drukowane w *Siewbie*, *Epoce*, *Ludzie roboczym*, *Prawdzie*, *Witeziu*. Zostały jeszcze rękopisy, między któremi jest większy poemat, który pewno ukaże się w druku. Ale najcenniejszą spuścizną jego to dokonana praca na polu oświaty, to drogie imię, które przyjaciele zmarłego, ci, z którymi i dla których pracował, głęboko wyryją sobie w sercach i pa-...

Przeczuwał to, bo w wieszczym swym ostatnim wierszu „Fatalną idę, bezpowrotną drogą",... drukowanym w *Witeziu* pisał:

> „Ja życiem dziwnem, a tajemnem żyję;
> „Ono nie skończy się na śmierci sierpie,
> „O tem, kim byłem, i za co tak cierpię,—
> „Choć nie powiedzą nic usta niczyje,
> „Lecz moje żywe prawdą krwawą słowo
> „Błyśnie wam jutro, jak topór nad głową".

W. Fijałkowski.



Nad mogiłą.



Przed kilku dniami nadeszła do Warszawy żałobna wieść o śmierci Henryka Ostachiewicza. Czytelnikom warszawskim nie potrzeba przypominać, kim był zmarły, jakie wspomnienia, jakie nadzieje wiązały się z jego imieniem. Któż go nie znał? któż o nim nie słyszał? Na burzliwym, tragicznie ponurym widnokręgu naszego życia w latach ostatnich postać tego młodzieńca zaświeciła jak błyskawica, zjawiła się nagle, błysnęła wspaniale i znikła wśród grzmotów nadciągającej czarnej chmury. Ostachiewicz budził sympatyą nietylko wśród swoich lecz i wśród obcych. Rosyanie, którzy się z nim w życiu publicznem zetknęli, powzięli stąd wyższe mniemanie o naszej żywotności: „Jakże dzielnych ludzi macie między sobą!” mawiali z podziwem.

Wszystko to trwało — niestety — ledwie przez jedno oka mgnienie. Działalność Henryka Ostachiewicza rozpoczęta na polu oświatowo-kulturalnem, krótka lecz świetna na polu życia publicznego, następnie wyłącznie naukowa—miała w całości swej charakter przygotowawczy. Nie to, co zdążył zdziałać, lecz to, czego po nim oczekiwać miano prawo po tak świetnie zapowiadających się początkach — zapalało dla niego serca tych, co go znali. Niestety—najpotrzebniejsi umierają.

„I szła śmierć dzieci ludzkich sadem, —
I oszczędzając niedołęstwo —
Raziła młodość, piękność, męstwo —
I rozpacz ludzka szła jej śladem”.

Trudno—trudno bo przeżyć obecną chwilę! Na łanie naszego życia padają pod kosami najzdrowsze kłosy. Najsilniej bijące serca mróz śmierci ścina; znikają jeden po drugim, ci najlepsi — ci niezastąpieni, a od ich żałosnych mogił wzrok z tęsknotą i lękiem w przyszłość się zwraca. Czy przyjdą, skąd i kiedy zjawią się nowe postacie tych, co po nich spuściznę obejmą? Henryk Ostachiewicz żył tylko lat 30. Zmarł w Saratowie, pochowany d. 5 b. m. w Wilnie, gdzie żyła jego najbliższa rodzina. Z serdecznym żalem żegnamy to krótkie a piękne jak poemat życie.



Rada Polskiego Zjednoczenia Postępowego wybrała p. p. Świętochowskiego, Lypacewicza i Konica, jako przedstawicieli stronnictwa na konferencyi w Pradze oraz na przedwstępnych naradach w Krakowie. P. Świętochowski mandatu nie przyjął; pozostali dwaj delegaci wyjechali do Krakowa.



Z LITERATURY.



B. Gorczyński. **Parodye Miłości.** Trzy jednakowe lekkie komedye. Lwów 1908 r. Księg. Połonieckiego, str. 77.

Utalentowany autor kreśli obrazy studencko-burżuazyjne jędrnie, z rozmachem, z dużem poczuciem scenicznem i gryzącą ironią, którą już w *Bagienku* i w *Inteligencie* wyjawił. „Parodye Miłości” są to szkice z natury, luźne fragmenty życiowe; niema tu właściwie ani cienia głębszego uczucia, lecz jakieś skoszlawione odbicie, jakby we wklęsłych lub wypukłych zwierciadłach śmiechu widziane.

Miłość jest traktowaną przez bohaterów w sposób epizodyczny, szorstki, brutalny; tytuł zresztą ogólny daje nam trafną syntezę tego, co chciał autor przedstawić. Gorczyński nie lubuje się zbytnio w pogłębianiu swych postaci, jak to czynią autorzy północy, lecz daje nam je w śmiało nakreślonych konturach. Są to przeważnie pospolici „zjadacze chleba” pozujący chwilami sami przed sobą na idealistów, typy, w których za lada zeskrobaniem emalii zewnętrznej ukazuje się najtandetniejszy tombak. W swych udramatyzowanych satyrach odsłania autor kalectwo duchowe, płytkość uczuć lub zupełny ich zanik.

J. Or.

Andrzej Baumfeld: **Sam na sam z duszą kapłanką.** Kraków 1907 (str. 71).

Autor pod tym obiecującym tytułem rozpościera przed czytelnikiem mistyczne obrazy pełne młodzieńczej tęsknoty za czemś niedościgłem, a skończenie doskonałem. Na całość niewielkiego tomiku składają się: „Mistrz on i królewna dusza”, „Błogosławiona pieśni wiosennego lasu” i „O sześciu dniach stworzenia i siódmym dniu wypoczynku”. Autor nurza myśl swą w zagadnieniach prabytu, nieskończoność go pociąga otchłanną potęgą. Obok poetycznych miejscami okresów, główną cechą jest rozlewność stylowa, reminiscencye całego szeregu utworów tego rodzaju, patetyczne napięcie, niedociągnięte do wyżyn istotnych piękna, pomimo widocznego usiłowania autora, aby jego słowa, jak opisywane przezeń wzgórza: *„świątynnemi ramiony w niebo wpierały”*(?)

Jest dużo pozy w tym apokaliptycznym stylu: *A sam był, jakoby nie był — a był sam, bowiem poza nim nic było nic — a sam był jako nic, którego nie było poza nim* (str. 56).

Napotykamy też często tak zupełnie obrazowości pozbawione określenia, jak n. p. *„ziarenka mchu”*, na których spoczęła królewna; *„lotny (?) kwiat”*, lub zbyt ryzykownie narzucone wyobraźni porównania nie licujące z duchem języka, n. p. *„mozoliła się (?) ścieżka”* *„spłynęły nagie ciał stepy (?) czerwoną krwią pocałunków”* (str. 31).

Młody Parnas sili się wciąż na ekscensryczność wymuszoną i pod płaszczykiem koniecznej potrzeby wzbogacania języka daje często nowotwory: „pour épater les bourgeois”.

J. Or.

Sława Pruszyńska. **Najdalszym.** Kraków, 1907 r. str. 63.

Nuta szczerości drga w tym zbiorku poezyi, w skargach bezmiernie smutnej duszy, pomimo że leitmotivem jest częstokroć tak już ograne i na wszystkie sposoby wyzyskane, że się tak wyrażę, kokietowanie śmierci, która według słów poetki: „otchłanne obiecuje cuda i w kuszące swe mroki woła”. W innem miejscu — „Wszystko prócz śmierci w życiu naszem kłamie”!.. albo też:

Śmierć wielbię — nieskalaną, milczącą [królewnę,
Co ma oczy głębokie i wszystko widzące,
Śmierć wielbię — najcudniejszą tajemni- [czą Panią.
Która wszystko swym wzrokiem bieli [i oczyszcza.

Niekiedy w duszy bólem targanej budzą się bezlitośnie instynkta, jak n. p. we Fragmencie:

Przeto wejdę odziawszy się szatą jaskra- [wą,
W dom, gdzie usłyszę straszne po umar- [łym płacze,
I wzrokiem mym wyszydzę żałosne roz- [pacze
I śmiechem mym rozognię tę mękę ich [krwawą.
. . . .
I dalej pójdę przed się mrożąc mym od- [dechem,
Rozsiewając wkrąg rozpacz, szyderstwo [i trwogę,
By nie płakali cicho, nie dyszeli śmie- [chem,
Kiedy ja śmiechu nie znam, a łkać już [nie mogę.

Udręka miłosnych rozczarowań, zgrzyty duszy mrącej w bolesnej z sobą i z światem rozterce, co *łka po szczęścia tajnego pogrzebie* „przewija się po wszystkich kartach książki. Dużo głębokiego uczucia zawiera „Wieczór” *„Tak, nie czekałam ciebie nigdy, nigdy jeszcze!”*...

Jest w tem szczery krzyk kobiecej duszy, jak również w wierszu: „Grzeszyłam”. Kończy się on następującą strofą:

Grzeszyłam strasznym pragnień moich [chłodem,
Każdą minioną, przebrzmiałą godziną,
I dziś — ta niemoc kładzie się przewiną,
Okropną pustką na mem życiu młodem...

Brzmi w tych słowach biczujący własną duszę samokrytycyzm, pełen wszelako subtelnego liryzmu. Na ogół zbiorek ten, w którym refleksyjność przeważa, odsłania głębie duszy wysoce artystycznej; forma wypowiadania się wytworna, bez pretensyonalności.

J. Or.



Memorabilia polityczne.

Warszawa, 7 lipca.

W najnowszym przebiegu ekspedycyi francuskiej w Marokku zaszedł wypadek, który dał powód prasie niemieckiej do ostrych wystąpień przeciw rządowi republiki, a jednocześnie wywołał nową interpelacyę ze strony parlamentarnej frakcyi socyalistów.

Interpelacya Jaurès'a jest dopiero zapowiedziana, więc na teraz niewiadomo jeszcze, ku czemu właściwie będzie skierowana krytyka nieprzyjaciół obecnego gabinetu, czy przeciwko generałowi d'Amade, czy też wogóle przeciw całej akcyi ministra Pichon'a.

Zdobycie miasta Azemmur przez Abd-el-Azisa wspieranego działaniem wojsk francuskich wywołało wśród Niemców głosy gwałtownego oburzenia. *Tägliche Rundschau* zamieściło artykuł, odznaczający się

napastniczym tonem i wprost obelżywem naśmiewaniem się z roli, jaką armia francuska odegrywa w tej chwili w Marokku. *Kölnische Ztg.* wypowiedziała głębokie uwagi o sprzeczności, zachodzącej pomiędzy urzędowemi oświadczeniami rządu i Izby, a czynami generała dowodzącego w sułtanacie, i nie cofnęła następnie swoich zarzutów, gdy już nazajutrz rząd francuski ogłosił o wysłaniu nagany generałowi d'Amade z ponowieniem danych mu poprzednio instrukcyj, aby ani na krok nie odstępował w przyszłości od wytkniętej mu linii operacyjnej.

Potem nastąpiły bliższe wyjaśnienia interesującego incydentu przez specyalnego korespondenta *Temps'a*, które przedstawiają zagadkową sprawę pochodu na Azemmur w cokolwiek odmiennem świetle. Jeżeli te wyjaśnienia okażą się prawdziwe, można będzie uważać, iż wypadek niepociągnie za sobą poważnych skutków.

Według wersyi *Tempsa*, generał d'Amade bynajmniej nie działał na podstawie jakiejś kombinacyi ułożonej do współki z Abd-el-Azisem, do czego nie miał od swego rządu upoważnienia. Zbliżył się wprawdzie do rzeki, nad którą leży miasto Azemmur, lecz bez zamiaru przejścia poza rzekę i nie robiąc w tym celu żadnych przygotowań. Tymczasem Kaid, sprawujący w mieście Azemmur rządy w imieniu pretendenta Mulej-Hafida, który już poprzednio walczył nieraz z Francuzami w okręgu Szanja, rozkazał zaaresztować kuryera wiozącego list do wice-konsula francuskiego w Mazaganie i przerwał Francuzom komunikacyę z tem miastem. Generał d'Amade sądząc, że nie można pozwolić na podobne postępowanie Kaida bez narażenia się na napady ze strony sąsiednich plemion, postanowił wejść do miasta Azemmur i dokonał tego jednocześnie z wojskami Abd-el-Azisa, gdy te działając po lewej stronie rzeki, zdobyły miasto. Zdaniem generała środek ten był niezbędny dla uspokojenia całego okręgu Szanja, przedewszystkiem zaś dla utrzymania połączenia z Mazaganem.

Postępek generała d'Amade spotkał się z surową oceną nietylko ze strony prasy niemieckiej. Niektóre dzienniki paryskie wyraziły ubolewanie nad tem, że jeśli pochód na Azemmur nie był przekroczeniem instrukcyj rządu, to taka polityka rządu byłaby dla interesów francuskich w Marokku bardziej niebezpieczną niż klęska wojenna. Wszystkie wiadomości szerzone przez dzienniki niemieckie o wielkim rozlewie krwi przy zdobyciu miasta Azemmur zostały natychmiast zaprzeczone przez ogłoszenie depesz agencyi Havasa, według których, po krótkiej strzelaninie, w mieście nastąpiła cisza, spokój i — jak twierdzą źródła francuskie—zadowolenie krajowej ludności. Po tych zapewnieniach, popartych opublikowaniem noty rządowej do generała d'Amade, dzienniki berlińskie nie należące do odcienia nacyonalistycznego, jak n. p. *Berliner Tagebtatt* uznały, że wypadek sam przez się nie dowodzi, aby rząd francuski posunął się poza granice mandatu europejskiego, udzielonego mu w Algeciras. Czy jednak taki sam pogląd podzielany jest w sferach rządzących w Berlinie, wiedzieć jeszcze nie można, tembardziej że jednocześnie postanowiono zmiany w reprezentacyi Niemiec w Marokku. Baron Rosen otrzymał urlop, a w miejsce jego interesy niemieckie w Tangerze reprezentować będzie baron Wangenheim, dotychczasowy minister pełnomocny w Meksyku.

* * *

W kwestyi konfliktu, czyli właściwie quasi-konfliktu, jaki wciąż się zaostrza pomiędzy Radą państwa a Dumą petersburska w sprawie kredytów na odbudowanie floty rosyjskiej, odezwały się głosy prasy francuskiej, zasługujące na uwagę o tyle, że pochodzą od sprzymierzeńca.

Przypominają mianowicie, że jeszcze niedawno hr. Witte cofnął z początku przez siebie wyrażoną opinię o konieczności udzielania kredytów na marynarkę. Był czas, gdy na tym punkcie centrum Rady Państwa pozostawało w bezwarunkowej zgodzie z centrum w Dumie.

Francuzi sądą, że gdyby ta zgoda utrzymała się w dalszym ciągu, musiałaby w końcu odnieść zwycięstwo nad biernym oporem stawianym przez admiralicyę.

Podług informacyj ministeryalnego organu paryskiego biurokratyzm ministeryum marynarki zaczął już oswajać się z myślą, że jednak badź co badź, trzeba się rachować z opinią centrowców. Ten zaś fakt stanowił znów silną zachętę dla żywiołów reformatorskich, które centrum zawiera wśród siebie. Stało się zatem niedobrze, iż Rada Państwa zburzyła ich nadzieje. W końcu dziennik przytoczony, przyznając zupełną racyę p. Stołypinowi, że stara się o odbudowanie zniszczonej floty wojennej rosyjskiej, posuwa swoją przyjazną interwencyę aż do oświadczenią, ze prezes gabinetu petersburskiego myli się, gdy chce powierzyć przywrócenie marynarki państwowej do należytego stanu tym samym ludziom, którzy są odpowiedzialni za jej utratę i którzy w swoich aktywach nie mogą nic innego wykazać oprócz Portu Artura i Cuszimy.

* * *

W obecnej porze powszechnych wakacyj dość pożądaną sensacyę wzbudził artykuł berlińskiego *Tag'u* zatytułowany: „Hinter den Coulissen", pochodzący z pod pióra deputowanego do sejmu pruskiego a niegdyś radcy legacyjnego *p. v.* Rath.

Artykuł ma na celu wyjaśnienie zwrotu nieprzyjaznego dla Niemiec w polityce króla Edwarda, chociaż przy wstąpieniu na tron tego monarchy w sferach rządowych angielskich panował nastrój nader dla Niemiec pomyślny i na pozór przedstawiający warunki trwałości. Jeszcze w r. 1901 za rządów Chamberlain'a, gdy ambasadorem niemieckim w Londynie był hr. Hatzfeldt, zdawało się możliwem zawarcie przyjacielskiego układu między obydwoma państwami w przedmiocie wzajemnych posiadłości kolonialnych. Możliwość ta się nie ziściła, ale za to nastąpiło porozumienie z Francyą i nakoniec z Rosyą przypieczętowane zjazdem rewelskim. Przyczynę takiego obrotu rzeczy—zdaniem autora artykułu—należy upatrywać w grubych i drobnych błędach dyplomacyi niemieckiej, oraz w osobistym wpływie lorda Curzon'a b. wice-króla Indyi, który prawdopodobnie niedługo zajmie kierownicze stanowisko w zagranicznej polityce angielskiej. Rozwinął on mianowicie obszerne plany w zakresie kwestyi Wschodu europejskiego, których osią jest wytworzenie niezależnej od Berlina polityki austro-węgierskiej.

W tym celu właśnie odbywają się w Londynie codzienne narady p. Grey'a z ambasadorem austryackim, Mensdorff'em i sam król Edward zawsze bierze udział w tych naradach. Zresztą w czasie dorocznego przejazdu do Marienbadu monarcha angielski zboczy do Ischlu aby cesarza Franciszka Józefa nakłonić do swojej polityki. Jednem słowem stanowisko Austro-Węgier względem planów angielskich jest zagadnieniem najwyższej wagi, nad rozwiązaniem którego zarówno król Edward jak i jego gabinet bezskutecznie pracują. Tkwi w powyższem zagadnieniu zarazem najcięższa próba dla trójprzymierza. Wierność przyjaźni austryackiej, zwłaszcza w chwili odnowienia antagonizmów rosyjsko-austryackich na półwyspie bałkańskim po upadku kompromisu mürzstegskiego, nie wzbudza w Niemczech wątpliwości. Lecz jeśli znajdą się środki zaspokojenia pretensyj czy ambicyi jednego i drugiego z tych mocarstw, powstaje wielka kwestya, czy wytrzymałość sprzymierzeńca austryackiego nie okaże się zachwianą tembardziej, że antipolska polityka Prus zrządziła już w tym sojuszu poważną szczerbę.

Artykuł berlińskiego *Tag'u* przytoczono, z pominięciem tylko projektów co do uczestnictwa Włoch i innych państw w podziale zdobyczy tureckiej. Wydają się one dzisiaj jeszcze łapaniem ryb przed niewodem. Powtórzony on został przedewszystkiem w dziennikach wiedeńskich z uznaniem dla jego części, zawierającej poglądy na obecną ewolucyę polityczną i trafnie oceniającej sytuacyę oddzielnych mocarstw.

Niema wątpliwości, że z punktu widzenia interesów austryackich artykuł, o którym mowa, przedstawia pokusę zbyt silną, aby można było zbyć obojętnem milczeniem to niezwykle pomyślne stanowisko, jakie v. Rath przyznaje Austryi. Oczywiście, że jeśli rokowania wejdą na drogę właściwą, w Wiedniu cała uwaga zwróconą byłaby w kierunku jaknajkorzystniejszego wyzyskania stanowiska.

* * *

W Berlinie pocieszają się, że akcya anglo-rosyjska w Macedonii pozostaje jeszcze tymczasem w dalekiem polu. *Berl. Tageblatt* sądzi nawet, że pomiędzy Anglią a Rosyą po uniesieniach zjazdu rewelskiego nastąpiło pewne ochłodzenie z powodu działalności rosyjskiej w Persyi. Dało się to zauważyć, zdaniem dziennika berlińskiego, podczas rozpraw nad interpelacyą w parlamencie angielskim.

Trzeba jednakże uznać, że właśnie z toku tychże rozpraw okazało się jawniej, iż w Anglii nie łudzą się bynajmniej pozornem zwycięstwem szacha, odniesionem przy pomocy oficerów rosyjskich nad rewolucyą. Są tam owszem przekonani, że bez rządu parlamentarnego porządek już dziś w Persyi ustalić się nieda, jak również i niezależność państwowa kraju utrzymaną być nie może. Wreszcie rozumieją dobrze, iż podstawą wszystkich przyszłych reform w Persyi musi być pożyczka międzynarodowa oraz zapewnienie amortyzacyi zagranicznego długu Persyi pod kontrolą międzynarodową.

Taki pogląd zgadza się, o ile wnosić można, z widokami rządu rosyjskiego i miany był na względzie przy zawieraniu znanej konwencyi zeszłorocznej.

St. Pyrowicz.



Towarzystwo Artystyczne Warszawskie podaje do wiadomości następujące warunki otrzymania stypendyum z zapisu ś. p. Płoskiej w roku 1908.

1) Stypendyum otrzymuje, z kolei przewidzianej przez ustawę stypendyalną par. 4, artysta malarz.

2) Stypendysta ma mieć nie niżej lat 18 i nie wyżej lat 30, rzymsko-katolik, polak.

3) Stypendyum przyznanem zostanie jednemu z pośród artystów malarzy, którzy w terminie oznaczonym nadeszla swe prace bezimiennie (jak poniżej) dla wykazania dotychczasowej działalności. Poczem w lokalu Towarzystwa Zachęty urządzoną zostanie wystawa wszystkich prac nadesłanych jednocześnie z ogłoszeniem nazwiska stypendysty.

4) Konkurujący podają w zapieczętowanej kopercie swe imię i nazwisko wraz z metryką; pożądany jest również życiorys z zaznaczeniem odbytych studyów.

5) Wyborem kandydata zajmuje się Zarząd Warsz. Tow. Artystycznego z powołaniem do rady i głosowania p. Zenona Przesmyckiego w myśl życzenia testatki.

6) Prace składać należy do dnia 30 Września 1908 r. włącznie w Kancelaryi Towarzystwa Artystycznego (Trębacka Nr. 10) za pokwitowaniem. Koszta przesyłki ponoszą ubiegający się.

7) Stypendyum zostaje udzielane na rok, z prawem za każdym razem prolongowania rocznego najwyżej do lat 4 (czterech).

8) Stypendyum jest wypłacane miesięcznie po 50 rb. z góry. Na miesiąc przed upływem roku składa stypendysta dowody swej pracy, na zasadzie których Zarząd może prolongować stypendyum na następny rok.

9) Nieprzysłanie w oznaczonym terminie dowodów pracy oznaczać będzie rezygnacyę stypendysty z korzystania w dalszym ciągu ze stypendyum.

10) Rok liczy się od daty przyznania stypendyum.

KRONIKA.

— Z rozporządzenia władzy zamknięto w gubernii piotrkowskiej 17 szkół polskich: w Zawierciu trzy, w Częstochowie pięć, w Sosnowcu cztery, w Grodźcu jedną, w Piotrkowie gimnazyum polskie i szkołę początkową. Podobno zamknięcie jest czasowe; szkoły mają być otwarte, gdy ich zwierzchność da piśmienną gwarancyę, że historya i geografia wykładane będą po rosyjsku.

— Duma bez dyskusyi przyjęła dwa projekty ustawodawcze, wniesione przez główny wydział więzień, dotyczące zwiększenia preliminarza wydziału więziennego i kredytów na budowę nowych więzień.

— W Petersburgu d. 5 b. m. otwarto wszechrosyjski zjazd przedstawicieli prasy. Prezesami honorowymi wybrani Arseniew i Korolenko, przewodniczą kolejno Maksym Kowalewskij, Milukow i Fiodorow. Postanowiono uczcić jubileusz Tołstoja d. 10 września przez wydanie jubileuszowych numerów wszystkich pism, utworzenie muzeum literackiego im. Tołstoja i wydanie zbiorowe dzieł tego autora.

— Nowa pożyczka rosyjska w sumie 200 mil. rb. uzyskała sankcyę Najwyższą. Oficyalna nazwa: „Trzecia pożyczka wewnętrzna 5% roku 1908". Amortyzacya nastąpi w ciągu 45 lat.

— Rada ministrów w Petersburgu postanowiła wnieść pod obrady Dumy projekt prawa o ubezpieczeniu robotników.

— Komisya gubernialna do spraw stowarzyszeń odmówiła legalizacyi towarzystwu „Polska Oświata Narodowa".

— Grupa monarchistów rosyjskich w Warszawie czyni zabiegi o utworzenie przy tutejszym uniwersytecie patryotycznego koła młodzieży rosyjskiej. Władze podobno wahają się z udzieleniem pozwolenia obawiając się, że wszelkie partyjne organizacye studenckie wprowadzą między młodzieżą antagonizmy i dadzą powód do zamieszek.

— Dziennik *Ruś* został zawieszony przez wydawcę z powodu braku środków. *Ruś* była 6 razy zawieszana administracyjnie i zapłaciła w ciągu roku ćwierć miliona rubli kar administracyjnych.

Rozprawa p. Stefana Górskiego o stanowisku Niemców w Królestwie Polskiem ukazała się w przekładzie rosyjskim p. t. „Pierodowyje posty niemcew w Carstwie Polskom". Została ona rozesłana posłom do Dumy i Rady Państwa. Po polsku wyjdzie nakładem autora.

— Związek słowiańskich dziennikarzy w Pradze uchwalił nie brać udziału w międzynarodowym kongresie prasy w Berlinie ze względu na cofnięcie się od uczestnictwa dziennikarzy polskich.

— Ustawa Uniwersytetu ludowego im. Szaniawskiego w Moskwie została zatwierdzona przez Radę Państwa.

— W Cieszynie d. 28 b. m. w czasie uroczystego pochodu przy poświęceniu sztandaru polskiej młodzieży rękodzielniczej, Niemcy napadli na Polaków, obrzucając ich kamieniami z okien domów, rzucając petardy i gromiąc kijami. Przeszło 20 osób rannych przeniesiono do Domu polskiego. Między innemi ciężkie obrażenia odniósł prof. Jawień, którego tłum niemieckich napastników powalił na ziemię i byłby zamordował, gdyby Polacy nie byli obronili. Koło polskie postanowiło w tej sprawie wnieść interpelacyę do ministra.

— W Poznaniu d. 28 czerwca roku bieżącego Towarzystwo Przemysłowców obchodziło 60-ą rocznicę swego istnienia wystawą jubileuszową. W odróżnieniu od powstałego później Tow. młodych przemysłowców, [illegible] przemysłowców i utrzymuje szkołę wieczorną dla uczniów polskich. Wystawa przedstawia się okazale i obejmuje wyroby 113 firm polskich. Z powodu zakazu używania języka polskiego przy otwarciu wystawy nie wypowiedziano ani jednej mowy.

— Uczestnicy kongresu studentów słowiańskich wysłali do kancelaryi Cesarskiej podanie o ułaskawienie Siczyńskiego, gdyż wykonanie wyroku śmierci na długie lata zagrodziłoby drogę do pojednania Polaków z Rusinami. W tym też duchu wydała odezwę młodzież ludowa we Lwowie.

— Niemieckie towarzystwa gimnastyczne postanowiły utworzyć związek, obejmujący całe państwo rosyjskie z główną siedzibą w Łodzi.

— W niemieckich kołach wojskowych wykryta zdrada polega na sprzedaniu Anglii i Francyi tajemnicy niemieckiego prochu bezdymnego.

— W Lipsku przed trybunałem państwa toczył się proces przeciw Egenspergerowi o sprzedanie Francyi tajemnic artyleryjskich. E. skazano na 3 lata więzienia.

— Miasto Praga przyjmowało wspaniałym bankietem goszczących tam dziennikarzy angielskich. Obecni byli konsulowie angielski i włoski. Konsul angielski w toaście zapowiedział przybycie lorda majora do Pragi.

— Organizuje się zbiorowa wycieczka polska do Pragi czeskiej. Bliższych wiadomości udziela biuro Ulanicki i Sokołowski Krak.-Przedmieście 5.

— „Deutsche Zeitung" proponuje utworzenie komisyi kolonizacyjnej dla Górnego Szlązka, celem poparcia przemysłu niemieckiego w tej dzielnicy.

— W sprawie nawiązania stosunków handlowych z Francyą odbyło się zebranie w stowarzyszeniu kupców polskich. Zapoczątkowano sprawę utworzenia instytucyi polsko-francuskiej, pośredniczącej między obu stronami. Francyę zainteresowała żywo sprawa stałego wywozu od nas pewnych produktów surowych: pierza, szczeciny, drzewa i t. d. Co do dowozu — wytwórcy francuscy zgadzają się przyznać nabywcom naszym takie same warunki kupna, jakie wytworzyła praktyka handlowa stosunków z Niemcami.

— Przybył do Warszawy delegat Związku narodowego przemysłowców węgierskich, p. Mautner, i ma zamiar zamieszkać przez czas dłuższy w naszem mieście celem zbadania tutejszego rynku, jego potrzeb i wymagań.

— W przyszłym roku organizuje się wystawa przemysłu i rolnictwa w Częstochowie.

— Otwarto nowy most kolejowy na Wiśle pod Warszawą.

— Na Szlązku austryackim w gminie Dąbrowie powstaje pierwsza szkoła wydziałowa z językiem wykładowym polskim.

— W Pradze rozpoczął się d. 5 b. m. wszechsłowiański Zjazd kobiet. Wzięły w nim także udział przedstawicielki Polek. Ogólny charakter Zjazdu jest wybitnie postępowy i wolnomyślny.

— W angielskiej izbie gmin wniesioną ma być interpelacya przeciw niemieckiej organizacyi szpiegowskiej. Oficerowie sztabu niemieckiego odbywają ciągłe podróże po Anglii, Szkocyi, Kornwalii a nawet Irlandyi.

— W portugalskiej izbie poselskiej przyszło do skandalicznego zajścia. Poseł Arfoun oskarżył republikanów, progresistów i regeneradorów o uknucie spisku na króla i przekupienie morderców. W izbie powstał nieopisany hałas i posiedzenie zostało przerwane.

— Papież odłożył bullę o reformie sądu watykańskiego. Jest ona przygotowaniem do nowego kodeksu prawa kanonicznego.

— Papież Pius X niebezpiecznie chory jest na cukrzycę. Stan jego pogarsza się ciągle.

— Ukazały się urzędowe zaprzeczenia krążących pogłosek o projektowanych jakoby spotkaniach cesarza Wilhelma z cesarzem rosyjskim i z królem angielskim.

— Poselstwo angielskie w Teheranie zaniosło do szacha skargę na obrazę Anglii wyrządzoną jej przez otoczenie poselstwa wojskiem. Nota napisana po francusku piętnuje bezczelne zachowanie się kozaków otaczających poselstwo. Poseł angielski, Marling, nie przyjął nadesłanego z odpowiedzią ustną urzędnika pałacowego.

— Senat francuski przy rozprawach o budżecie marynarki uchwalił votum ufności dla rządu i zalecił doprowadzić opodatkowanie ludności do maksimum, byle zapewnić Francyi flotę bojową dla bezpieczeństwa kraju potrzebną.

— Henryk Ostachiewicz inżynier, były pracownik kolei Warsz.-wiedeńskiej, zmarł w Saratowie.

— W Chrystyanii zmarł Jonas Lie, jeden z wybitnych pisarzy norweskich.

— Zmarł poseł trzeciej Dumy Petrowo-Sołowowo.

— Zmarł były ambasador w Konstantynopolu minister spraw wewnętrznych hrabia Ignatiew.

OFIARY.

Otrzymaliśmy przysłane na ręce naszej redakcyi składki na *Pogotowie Ratunkowe* od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Prauss rb. 3, S. Hegner rb. 2, S. Poradowski rb. 2, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, Z. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, A. Kleinsznek rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, J. Rzewnicki rb. 2, Z. De O'Byren kop. 50, J. Tarkowski rb. 1 kop. 50, A. Misiewski kop. 50, J. Szaniawski kop. 50, W. Lenk rb. 1, Cz. Padarewski kop. 50. Ogółem rb. 52.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Tadeuszowi Krasowskiemu z Garwolina na życzenie podajemy następujące tytuły polskich i rosyjskich dzieł z kwestyi kobiecej: O prawach kobiety, Edw. Prądzyńskiego. O poddaństwie kobiet, J. St. Milla. Kobiety i polityka, Lily Braun. Kwestya kobieca, Lily Braun. Kobieta, Bebla. Kobieta wobec badań nauki współczesnej, d-ra Popiela. Głosy kobiet w kwestyi kobiecej, książka zbiorowa wyd. krakowskie. Amfiteatrow, Żenszczyna w obszczestwiennom dwiżenii Rossyi, Miżujew: Żenskij wopros i żenskoe dwiżenije, Szczepkina: Intelligentnyj proletarjat, żenskij wopros a socyalizm.

OGŁOSZENIA.

„Wielkiej Encyklopedyi Powsz. Ilustr."

WYSZEDŁ Z DRUKU

Seryi II-ej: Tom VI zbroszurowany

Cena Rb. 4.

TOM V/VI W OPRAWIE

Cena Rb. 9 kop. 60.

Administracya **Nowy-Świat 47.**

Ostrzega się przed nabywaniem tomów i zeszytów **Encyklopedyi** od agentów, nie mających upoważnienia Administracyi.

Okazał się **podwójny** zeszyt **„Pamiętnika literackiego"**, czasopisma kwartalnego, poświęconego historyi i krytyce literatury polskiej, wydawanego przez **Towarzystwo literackie** imienia **Adama Mickiewicza**, pod redakcyą **D-ra Ludwika Biernackiego**, i zawiera następujace artykuły:

Zeszyt 5 i 6-ty **KULTURY** za miesiące maj i czerwiec wyszedł z druku i zawiera następującą treść:

St. L. Naukowe zasługi Marksa i Marksizmu. **St. Lichtenstein.** Koncentracya czy ekspansya kapitału (Przyczynek do metody ekonomiczno-statystycznej). **Leo Belmont.** Na szlakach myśli Marksa. **Jan Bełcikowski.** Monsalwat (Problemat Mickiewicza). **Stefan Poraj.** Lud zaczyna żyć. **Antoni Miller.** Muzyka i scena w szkole jako czynniki wychowawcze. **Jan Iwański.** Z niwy poetyckiej. **Michał Romer.** Religia i Wolna Myśl. **J. W.** Z wszechświatowego ruchu Wolnej Myśli. **W. P. — J. K.** Przegląd czasopism obcych. **Z. P.** Z nad mogił: Aleksander Smaczniński, Mamert Wikszemski, Jan Piliński—Adamowicz.

JERZY SIMMEL

FILOZOFIA PIENIĄDZA

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁ

LEO BELMONT.

Cena rb. 2, z przesyłką rekomendowaną rb. 2 kop. 30.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy."

Od Administracyi

„Wielka Encyklopedya Powsz. Ilustr."

Wskutek reklamacyi wielu osób, że od dłuższego czasu nie otrzymują dalszego ciągu **„Wielkiej Encyklopedyi Powsz. Ilustr."**, dostarczanej im zazwyczaj przez **p. St. Uszyckiego**, czujemy się w obowiązku zawiadomić wszystkich jego odbiorców, że **p. St. Uszycki** już od lat 2 przeszło kolporterkę „Encyklopedyi" zaniedbał i **nadal zajmować się nią nie będzie.**

Wobec tego upraszamy Sz. Prenumeratorów o spieszne zgłoszenie się bądź listownie, bądź osobiście wprost do **Kantoru Administracyi „Wielkiej Encyklopedyi Powsz. Ilustr." 47 Nowy Swiat 47**, po odbiór zaległych zeszytów i tomów, lub też o zapisanie się na listę stałych prenumeratorów, abyśmy mogli zarezerwować dla Nich odpowiednią ilość egzemplarzy wydawnictwa.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcyi przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i środy od 11 — 12; piątki i soboty od 4 — 5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.